

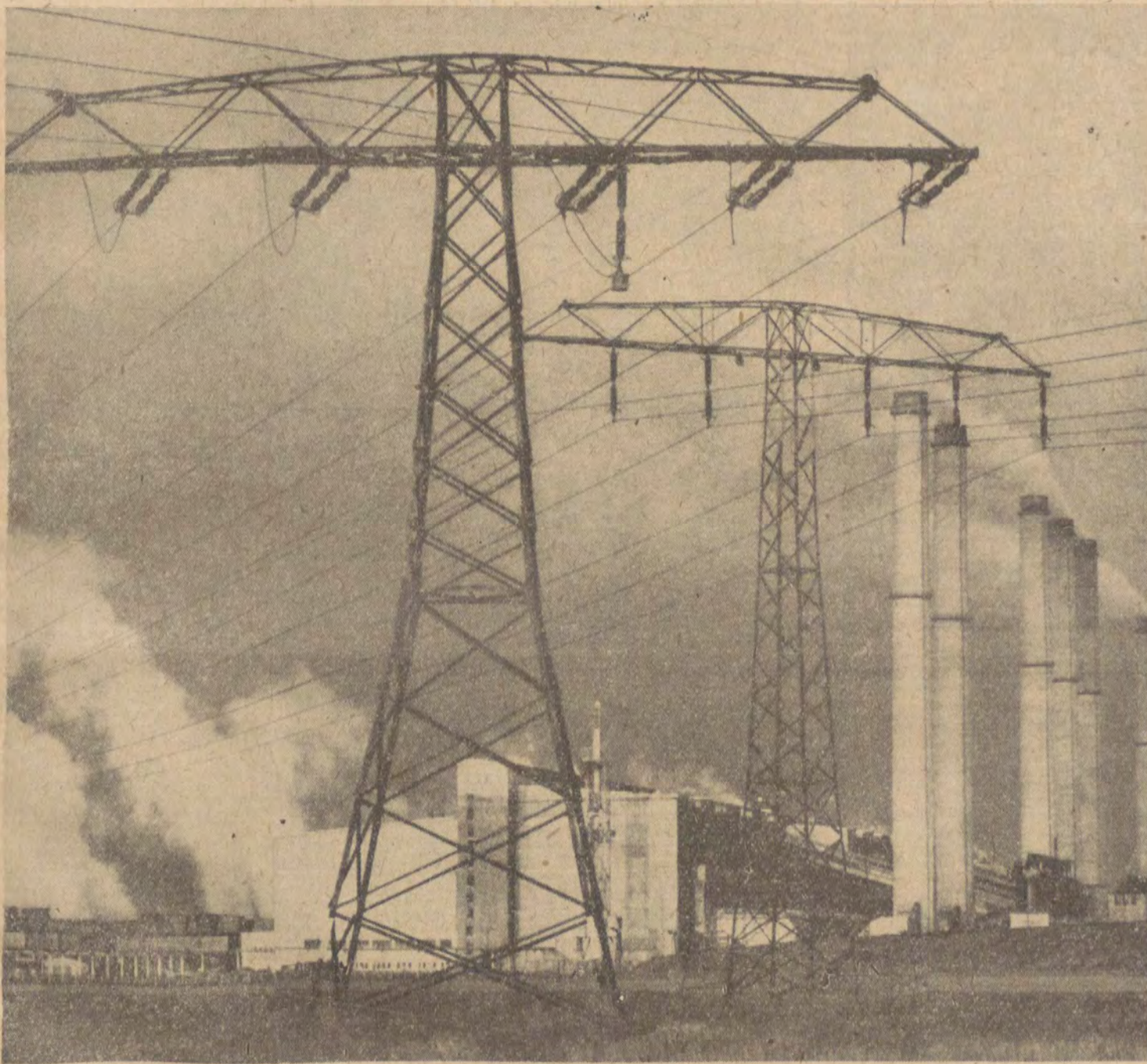
Dziś w numerze: ● Od Bałtyku do Karpat ● Generała Sikorskiego sen o przyszłości ● „Francuz” ● Starcie romantyzmów ● Język całego świata ● Klezmerskie wesele ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosy



Nr 38 (452)
24. IX. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



JAN HUSZCZA

Tragiczny ulubieniec

Pisał o sobie Sergiusz Jesienin w różnych odmianach autobiografii: „Urodziłem się 4 października 1895 roku. Syn chłopca z guberni riazkańskiej, z powiatu riazkańskiego, z siola Konstantinowo. Dzieciństwo upłynęło wśród pól i stepów.

Rosłem pod opieką babki i dziadka...

Wujowie moi byli chłopcami odważnymi i zuchwałymi. Miałem trzy i pół roku, kiedy posadzili mnie na nie osiodłanego konia i od razu puścili go w galop...

Byłem łobuziakiem i chłopcem nieposłusznym. Lubilem bić się...

Wiersze zacząłem pisać w dziewiątym roku życia, czytania nauczone mnie, gdy miałem lat pięć... Ale świadomą twórczość wiąże z 16—17 rokiem życia...

Dalszy ciąg na str. 6

JAN MUJŻEL

Niektóre sprawy awansu naszego miasta

Gdybym miał wymienić gospodarce problemy Łodzi o największym znaczeniu dla jej sytuacji aktualnej i rozwojowej perspektywy, to nie miałbym wątpliwości, że należą do nich:

- gruntowna rekonstrukcja zużytego i przestarzałego przemysłu tzw. lekkiego oparta o nowoczesną koncepcję jego zmian strukturalnych, wysoce efektywną technikę, technologię i rozwiązania organizacyjne;
- ilościowy, a przede wszystkim jakościowy rozwój galezi przemysłu elektromaszynowego, chemicznego i niektórych innych, przejmujących sukcesywnie odpowiedzialność za dalszą dynamikę i rangę gospodarki łódzkiej;
- rozbudowa i usilne doskonalenie zaplecza naukowo-technicznego wszelkich typów, zwłaszcza jednak w dziedzinach, które już wazą lub mają szansę waząć w profilu przemysłowym miasta;
- przyspieszone odrabianie nagromadzonych opóźnień i zaniedbań w gospodarce mieszkaniowej, komunalnej, w uzbrojeniu miasta w urządzenia usługowe, w unowocześnianiu jego oblicza urbanistycznego i architektonicznego.

Tym razem kilka uwag i refleksji pragmatycznym poświęć problemowi ostatniemu. Jednakże nie z pozycji branżowego fachowca-urbanisty, albo inżyniera, ale raczej ekonomisty „ogólnego”, społecznego, działacza i zaangażowanego w sprawy swego miasta łódzianina.

Moje uwagi będą dotyczyły przebytej drogi przez łódzką gospodarkę mieszkaniową i komunalną w okresie ostatnich dziesięciu lat, związanych z nią zmian niektórych proporcji międzyregionalnych i przyczyn tych zmian, no i wreszcie — pewnych konkluzji dość ogólnej natury, jakich z procesów tych nie sposób nie wyciągnąć.

GOSPODARKA MIESZKANIOWA — STRONA IŁOŚCIOWA

W ilościowych — statystycznych analizach tego zagadnienia przyjęło się posługiwać syntetycznym wskaźnikiem średniego zagęszczenia umownej jednostki mieszkaniowej — izby¹⁾. Nie jest to z pewnością wskaźnik metodologicznie precyzyjny, jednakże w statystyce publikowanej, innym, lepszym, nie dysponujemy, a wszelkie miary cząstkowe i pośrednie najczęściej nie dają podstaw dla ocen względnie jednoznacznych. Dynamikę wskaźnika zagęszczenia w Łodzi na tle kraju i niektórych jego obszarów dających się wzajemnie porównywać ukazuje tabela 1.

W tabeli mamy dynamikę wskaźników zagęszczenia dla 5 miast największych, statystycznie wydzielonych. Uzupełniająco — także dla ogółu miast w 2 województwach: gdańskim i katowickim, odznaczających się nie tylko szczególnie wysokim stopniem ur-

Tabela 1.

Przeciętna liczba osób na 1 izbę w miastach

Miasta	1950	1960	1965
Polska	1,55	1,33	1,50
Warszawa	1,91	1,58	1,45
Kraków	1,77	1,63	1,56
Łódź	1,93	1,78	1,56
Poznań	1,67	1,55	1,47
Wrocław	1,32	1,45	1,48
woj. gdańskie	1,41	1,48	1,44
woj. katowickie	1,55	1,44	1,43

Zródła: Rocznik statystyczny gospodarki mieszkaniowej i komunalnej 1965, s. 14. Rocznik statystyczny 1966, s. 14 i 404.

banizacji, ale także większym niż w województwach innych udziałem skupisk dużych, wielkomiejskich. Naturalnie, bardziej miarodajne byłoby porównania z indywidualnymi wskaźnikami zagęszczenia dla poszczególnych miast tych województw: Gdyni, Katowic, Chorzowa, Bytomia, Częstochowy itd. Jednakże informacjami tego rodzaju w publikowanej statystyce nie dysponujemy.

Już pierwszy rzut oka na dynamikę wskaźników wskazuje na wydatne osiągnięcia tak w skali całego kraju, jak i większości miast

i rejonów. Dodajmy — osiągnięcia niełatwe, gdyż uzyskane w warunkach wysokiego i merytorycznie niespornego napięcia inwestycji produkcyjnych oraz gwałtownego wzrostu ludności miejskiej.

Zmiany jakie nastąpiły w średnim zagęszczeniu mieszkań łódzkich można bez żadnej przesady określić jako przełomowe. W złym kryzysowym 1931 r. na 1 łódzką izbę przypadło średnio 2,5 osoby. W najuboższych jednoizbowych mieszkaniach robotniczych zagęszczenie to bijąc wszystkie znane wtedy najgorsze rekordy, wynosiło 3,8 osoby (Mały Rocznik Statystyczny 1939 s. 61). Obniżenie średniego wskaźnika z 2,5 czy nawet 1,93 (1950 r.) do 1,56 w 1965 r. i do wartości z pewnością jeszcze niższej w roku bieżącym kryje za sobą i ogromne nakłady i wysiłek i przede wszystkim — zupełnie nową jakość w warunkach egzystencji mieszkańców Łodzi.

Mimo to w całym ostatnim piętnastoletnim zagęszczeniu mieszkań łódzkich pozostawało i pozostaje najwyższe w porównaniu z resztą największych miast polskich. Jedynie w 1955 r. przykry los ostatniej lokaty podzielił Łódź z Krakówem. W latach 1950—1960 poza Wrocławiem wszystkie wydzielone największe miasta polskie posiadały wskaźniki zagęszczenia przekraczające średni poziom krajowy. Zmiany spowodowane realizacją ostatniego planu 5-letniego sprawiły, że w sytuacji tego rodzaju zostały nadal tylko Łódź i Kraków. Fakt ten mamy prawo traktować jako dalsze dotkliwie utrwalenie dysproporcji w warunkach mieszkaniowych na niekorzyść naszego miasta.

Charakterystyka przemian sytuacji mieszkaniowej przy pomocy wskaźników zagęsz-

Dalszy ciąg na str. 3



Rozpoczęta we wtorek XXII sesja Zgromadzenia Ogólnego NZ zapowiada się bardzo ciekawie. W jej porządku dziennym znajduje się ponad 90 zagadnień, ale największe zainteresowanie wzbudzają: rozbrojenie i Bliski Wschód. Pierwszemu tematu poświęcone jest kilka punktów porządku, jednak najciekawszej dyskusji oczekuje się nad wspólnym radziecko-amerykańskim projektem o zakazie rozpowszechniania broni nuklearnej. Bardzo interesujący będzie zapewne także raport ekspertów nt. skutków użycia tej broni.

W sprawie Bliskiego Wschodu niemal wszyscy przewidują, że choć kraje arabskie najprawdopodobniej nie wystąpią z projektem nowej rezolucji, dyskusja przeniesiona zostanie z sesji nadzwyczajnej, zwołanej, jak czytelnicy zapewne pamiętają, z inicjatywą ZSRR. Na łamach prasy zagranicznej można się spekulować, jak problem mógłby być rozwiązany. Przeważa opinia, że w zamian za wycofanie przez Izrael wojsk z okupowanych terytoriów, co oczywiście jest warunkiem jakiegokolwiek postępu, kraje arabskie mogłyby znaleźć modus vivendi. Niektórzy komentatorzy przewidują możliwość powołania mediatora, przez którego odbywałby się kontakt między obu stronami. Wszystko to jednak są przypuszczenia na razie bez żadnego pokrycia, ponieważ agresor nie tylko nie sygnalizuje odwrotu z zagarniętych przemocą ziem, ale odwrotnie — umacnia na nich swoją administrację.

Jak zwykle, w orbicie zainteresowania są także wybory niestających członków Rady Bezpieczeństwa. Wygasa kadencja: Mali, Nigerii, Bułgarii, Japonii i Argentyny. Sądzi się, że ich miejsca zajmą: Algieria, Senegal, Węgry, Pakistan i Paragwaj i że po raz pierwszy od wielu lat kandydatury te nie wzbudzą kontrowersji. Chciałbym przypomnieć, że poza pięcioma stałymi członkami Rady w jej skład wchodzi także czworo niestających w liczbie 10, wybierani na dwa lata. Z dniem 1 stycznia 1968 kończy się kadencja wymienionych powyżej pięciu krajów, a w rok później: Brazylii, Kanady, Etiopii, Indii i Danii. Przy doborze kandydatów obowiązują zasady geograficznego podziału miejsc.

Ze „spraw personalnych” wymienić także trzeba kandydaturę rumuńskiego ministra spraw zagranicznych — Corneliu Manescu na przewodniczącego XXII sesji ZO.

Kolejna sesja parlamentu narodów zbiera się w sytuacji utrzymującego się napięcia międzynarodowego, spowodowanego głównie trwaniem i nasilaniem interwencji Stanów Zjednoczonych w Wietnamie. Waszyngton zalecał wzmocnienie wojsk lotniczych, obejmując zbrodniczymi atakami także porty: Hajfong i Com Pha. Jest

tó nowy szczebel eskalacji, zaprzeczający jakiegokolwiek poszukiwaniu rozwiązania politycznego. Nasilając agresję Stany Zjednoczone mimo woli przyznają się do nieskuteczności dotychczasowych działań militarnych przeciwko Demokratycznej Republice Wietnamu, które prowadzi od sierpnia 1964 roku. Nie mogą one odnotować także żadnego trwałego sukcesu wojskowego w Wietnamie Południowym. Widocznym następstwem maniakalnego uporu, aby prowadzić wojnę, jest natomiast permanentny wzrost budżetu wojskowego, który — nawet według oficjalnych źródeł — osiągnął sumy 68 mld dolarów, co w przeliczeniu na 1 mieszkańca Stanów Zjednoczonych równa się 345 dolarom rocznie oraz stałe powiększanie liczebności regularnych sił zbrojnych, które obecnie są najbardziej rozróżnione na świecie i wynoszą 3 mln 400 tys. żołnierzy.

Wydarzeniem na arenie wietnamskiej w ostatnich dniach było ogłoszenie nowego programu Frontu Wyzwolenia Narodowego. Kreśli on jednoznacznie cel walki — uczynienie z Wietnamu Pół. kraju niepodległego, demokratycznego i neutralnego. Droga do tego prowadzi przez obalenie reżimu sąjnoskiego, przeprowadzenie wolnych wyborów, w których ludność wyłoniłaby demokratyczne Zgromadzenie Narodowe. Zgromadzenie to wybrałoby rząd jedności narodowej.

Program FWN zakłada dokonanie głębokich reform społecznych oraz stopniowe, krok za krokiem, środków pokojowymi i bez jakiegokolwiek ingerencji z zewnątrz, dążenie do zjednoczenia Wietnamu.

Tak sformułowane zasady są do przyjęcia dla najliczniejszych mas ludności, rozszerzają platformę Frontu, a tym samym stwarzają możliwość dalszego jeszcze wzmocnienia walki przeciwko interwencji amerykańskiej oraz reżimowi Ky-Thieu.

A teraz powróćmy do omawianej już dwukrotnie na tym miejscu wizyty prezydenta de Gaulle'a w Polsce. W dalszym ciągu bowiem utrzymuje się ona w centrum uwagi. Można nawet powiedzieć, że żadna z jego podróży nie miała tak obszernej prasy i tak kontrowersyjnie.

Większość komentatorów, zgodnie zresztą ze słowami samego de Gaulle'a, wypowiedzianymi już po powrocie do Paryża, ocenia, że jej rezultaty przeszły oczekiwania. Są jednak i próby pomniejszenia wyników podróży. Te ostatnie podejmowane są przede wszystkim przez koła bońskie, które są wściekłe na prezydenta Francji, że tak jednoznacznie i mocno postawił kwestię granic. Nawet wicekanclerz i minister spraw zagranicznych NRF — Brandt przyznał, że nie oczekiwano, iż de Gaulle podjąłby do zagadnienia w tak dramatyczny dla Bonn sposób.

Zdenerwowanie bońskich polityków jest zrozumiałe. Wypowiedzi de Gaulle'a praktycznie paraliżują ich tzw. nową politykę wschodnią i wykazują, że bez uznania faktów nie ma ona szans powodzenia: A powojennych realiów — jak wiadomo — Bonn nie chce ciągle zauważać.

W. SŁAWSKI

TKWIKI TYGODNIA

Deklaracja złożona w Polsce przez prezydenta de Gaulle'a na temat granicy na Odrze i Nysie wywołała w kołach rządowych NRF niezwykłe silne wzburzenie. Wyrazem tego wzburzenia jest oświadczenie złożone wobec dziennikarzy przez zastępcę rzecznika prasowego rządu bońskiego Conrada Ahlersa. Informując o tym zachodnio-niemiecka agencja DPA podkreśla w tytule, że „Bonn odrzuca oświadczenia de Gaulle'a w sprawie linii Odra-Nysa”. Rzecznik rządu NRF wyraził oficjalnie „ubolewanie” z powodu określenia przez de Gaulle'a Zabrza jako miasta „najbardziej śląskiego ze śląskich, a przez to najbardziej polskiego z polskich”. W odpowiedzi na pytanie dziennikarzy Ahlers stwierdził, iż rząd NRF nie dostrzega sprzeczności między słowami prezydenta Francji a duchem układów francusko-niemieckich. Rzecznik wyraźnie starał się osłabić niekorzystny dla Bonn efekt wystąpienia prezydenta Francji w Polsce.

członkom Komitetu Centralnego. Są nimi Czang Wen-tien i Wang Czi-ah-siang, absolwenci uniwersytetu Sun Yat-sena w Moskwie, zaliczani do „grupy 23 bolszewików chińskich” do których należał również Yang Szan-kun usunięty w początkach 1966 roku i oskarżony o założenie podsłuchu telefonicznego w gabinecie Mao Tse-tunga. Obaj byli uczestnikami „wielkiego marszu” i znanymi zwolennikami chińskiej polityki zagranicznej przedstawionej na konferencji w Bandungu. Czang Wen-tien dwukrotnie zajmował stanowisko sekretarza generalnego KPCW, w roku 1935 i w 1939. Agencja AFP podkreśla, że byli oni bliskimi współpracownikami premiera Czou En-laj.

Komunistyczna Partia Indonezji w dokumencie „O głęboką rewolucję indonezyjską” próbuje dać odpowiedź na pytanie, jak doszło do tego, że masowa partia komunistyczna licząca

ny od socjalizmu wprowadzone go na północ”. Uznał on, że w związku z tym zjednoczenie może być ewentualnie „długotrwałe i trudne”.

WASHINGTON OBSERVER o pomocy finansowej i dostawach dla Izraela: 400 mln dolarów ze zbiorów przeprowadzonej w Stanach Zjednoczonych, produkty rolne wartości 30 mln dolarów, które mają być wkrótce przekazane w ramach programu „żyzność dla pokoju” co najmniej 150 myśliwców bojowych „Mirage”, które dostarczone zostały w stanie rozmontowanym pod pretekstem zaopatrzenia w „części zamienne”. Samoloty te nie zostały jeszcze zmontowane, ale może to nastąpić w każdej chwili.

W związku z incydentami na granicy chińsko-indyjskiej w Pekinie przed ambasadą indyjską odbyła się demonstracja. Jak pisze AFP miała ona przebieg wyjątkowo spokojny, a udział w niej wzięło bardzo mało osób. Według AFP Chiny zdecydowane były nie dopuścić do jakiegokolwiek incydentów bądź poważniejszych wystąpień przeciwko ambasadzie indyjskiej.

„Dialog Warszawa — Paryż” jest wkładem w dzieło zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa



Minister Hunter do premiera Wilsona: — Wierząc temu, co tu jest napisane, jesteśmy na dobrej drodze. (Guardian, Manchester)

DIE WELT w komentarzu pt. „Bonn nie może dłużej milczeć” stwierdza: ostatni tydzień był dla Bonn szczególnie niekorzystny. Autor E. U. Fromm wylicza: zawarcie traktatu o przyjaźni między RFN i Bułgarią, przedłużenie układu o przyjaźni między Związkiem Radzieckim i Węgry, opowiedzenie się konferencji Pugwash za uznaniem obywateli państw niemieckich a wreszcie wizyta de Gaulle'a w Polsce... Fromm pisze: „kamienia obrazy dostarczył pod koniec tygodnia przyjaciel i sojusznik francuski prezydent Charles de Gaulle. Jego wypowiedzi (...) wymagają odpowiedzi ze strony Bonn. Inaczej wyłoni się pytanie: co się właściwie dzieje między Paryżem a Bonn jako sojusznikami, co się dzieje z koncepcją polityki wschodniej Niemieckiej Republiki Federalnej?”

Miarą irytacji komentatora jest wniosek: „Komu trzeba pałać słowa, prawdy. Jasne, że gen. de Gaulle'owi” — konczy DIE WELT.

Amerykański dziennikarz, Schoenbrun, który był ostatnio w DRW przytoczył w wywiadzie telewizyjnym następującą wypowiedź premiera Phan Van Donga: „Wy, Amerykanie, macie inne problemy — macie problem rasowy, macie zobowiązania w skali światowej. Wietnam jest dla was tylko jednym z problemów. Jest u was być może milion, być może dwa miliony Amerykanów — poświęcających poważnie cały swój czas wojnie wietnamskiej. My mamy 16 milionów a więc przewyższamy was liczebnie w stosunku 8:1”. Na temat rokowań pokojowych Phan Van Dong, według Schoenbruna, powiedział „Inicjatywą należy do Stanów Zjednoczonych. Powinności wytrzymać bombardowania bez stawiania warunków”.

W Pekinie rozpętała została krytyka przeciwko dwóm weteranom rewolucji chińskiej,

około trzech milionów członków i zdobywając w wyborach 10 milionów głosów poniosła tak gwałtowną i druzgocącą klęskę. Opracowanie i kolportowanie do kumantu jest przede wszystkim dowodem, że mimo straszliwej masakry Komunistyczna Partia Indonezji żyje i działa nadal.

Kontrolujemy co najmniej 80 proc. terytorium — oświadczył Nguyen Van Tien — staly przedstawiciel FWN Wietnamu południowego w Hanoi — i dwie trzecie ludności... Są to fakty, których Amerykanie nie chcą przyjąć do wiadomości. Póki będą zajmowali takie stanowisko i będą odmawiali rokowań z rzeczywistymi przedstawicielami Wietnamu południowego wszystkie kwestie wysuwane w sprawie pokoju zostaną w praktyce pozabawione sensu”. Nguyen Van Tien mówił także o reformach społecznych przeprowadzonych przez Front na kontrolowanych terenach zarzaczając, że „system ten oparty o własność prywatną był fundamentalnie odmien-

na kontynencie europejskim. Będzie on służył pogłębieniu współpracy między narodami Polski i Francji” — tak komentarz „Izwestii” ocenia wyniki wizyty prezydenta de Gaulle'a w Polsce. Poruszając reakcje polityków zachodnio-niemieckich komentator „IZWESTII” stwierdza: „rząd NRF niedowładnie odrzucił wypowiedzi prezydenta Francji de Gaulle'a w sprawie odnośnie linii Odra — Nysa”. Taka deklaracja raz jeszcze ukaże hipokryzję z „jaka przywódcy NRF mówili o gotowości do prowadzenia „nowej polityki wschodniej”.

Jugosłowiańska BORBA nawija zulaż do opublikowanego w indyjskiej gazecie „SUNDAY TIMES” rzekomego „manifestu” pisarzy czechosłowackich do światowej opinii publicznej” pisać, że niedawny zjazd pisarzy tego kraju wykazał, że „mogą oni powiedzieć wszystko co zamierzają, jawnie wyrażać poglądy i rozstrzygać swe problemy „bez pomocy technicznej” z zagranicy”.

Nożycami przez PRASĘ

A TU POSPOLITOŚĆ SKRZECZY...

„Życie Literackie”, jego czytelnicy i współpracownicy nie zaniechali tematu miłości. O „miłości studenckiej” pisze Krzysztof Miklaszewski. Oczywiście ma na uwadze to, co jaskrawsze i rzucające się szczególnie w oczy. Nie od dziś wiemy, że presja mody, przesła właśnie grup bardziej jaskrawych odgrywa w szkolnych i studenckich środowiskach szczególną rolę. Ujemną!

Z tego powodu Miklaszewski wyróżnia trzy modele zachowań. Dziewczeta zwłaszcza z prowincji, na które nagłe spada „wolność”, jakże często pragną się przypodobać właśnie najbardziej jaskrawemu stylowi.

Jednym z istotnych zachowań jest model tzw. prostytutki towarzyskiej. „Ambicją każdej z nich jest zostać aktywnym uczestnikiem zamkniętych kół młodzieżowych, dostać

ludzie „chodzą” ze sobą, nie zmieniając swego statusu rodzinnego, tzn. nie pobierając się, nie sięgając po samodzielną zawodową, pozostając na utrzymaniu rodziców, wkładając jednak w dojrzałe życie erozyjne, łącząc się w dłużej lub krócej związane z sobą pary, w rodzaj koleżeńskich małżeństw, uznawanych nie tylko przez rówieśników, ale także przez rodziców.

Ogólna ocena tych trzech modeli: Fundamentalnymi cechami zarysowanego negatywnego modelu pożytku dwóch młodych ludzi jest brak funkcjonowania w owym środowisku tego pierwszego rozumowego, który nazywamy uświadamieniem, i tego pierwszego poznatekualnego, który zwykłyśmy określać uczeniem.

Ocenę tę można uzupełnić ważniejszymi uwagami Adama Augustyniana: Ta dominacja seksu powoduje niewątpliwie ogromne straty moralne, ruguje ze stosunków dwójga ludzi jakkolwiek delikatność uczuć, ważny szacunek partnerski i wreszcie trwałość uczuć. Wyzwolenie seksu z tak zwanej niewoli obyczajowej doprowadzić może do nowej obyczajowej niewoli, do niewoli seksualnej.

URODZENIE W NIEDZIELĘ

W różnych okolicznościach używa się tego określenia. Najczęściej dopasowuje się je do nierobów i pasożytów społecznych, niebieskicich ptaków.

Ale jest i problem „urodzonych w niedzielę”, którzy nie zawsze sami są winni swojej sytuacji. Wymaga on taktownego i delikatnego, rodzicielskiego w najlepszym znaczeniu (czasem to oznacza, że także stanowczego) podejścia. Znowu chodzi o młodzież. Taką, która pozostała przy kilku klasach szkoły, nie zdobyła kwalifikacji, nie ma „miejsca na ziemi”. „Oni są bowiem żywym rejestrem niepowodzeń systemu oświatowego”, pisze Janusz Rolicki w „Kulturze”. Winnych jest znacznie więcej, ale mniejsza o to. Troska o zarządzenie zła jest najważniejsza.

Zaczęło się to w Warszawie od wezwań do rejestracji i rozmów. Reaguje red. Rolicki: „Orientacyjnie wiadomo, że 5 tysięcy młodzieży warszawskiej, w wieku od 15-18 lat nie uczę się. Ze statystyk milicyjnych wiadomo, że rocznie w Warszawie młodociani popełniają 2 tysiące przestępstw. Ta wiedza była jednak zbyt mała. Wiosną tego roku

przeprowadzono więc dodatkowe wywiady w 259 rodzinach wytypowanych przez inspektoraty oświaty, milicji i komitety blokowe. Dały one zaskakujące wyniki. Okazało się, że w co trzeciej rodzinie ojciec lub matka są nalogowymi alkoholikami, że połowa dzieci miała sprawy w sądach dla nieletnich. Postawiono temu przeciwdziałać. Tak więc: „Dla tych, którzy ukończyli szkołę podstawową siedmio- lub ośmioklasową — czytamy w sprawozdaniu — zarezerwowano ponad 2,500 miejsc w normalnych zasadniczych szkołach i około 800 w szkołach przy sposobności zawodowego. Dla tych, którzy nie posiadają ukończonej szkoły podstawowej, przygotowano około 800 miejsc, z tym, że w miarę potrzeb uruchamiane będą dalsze klasy”.

„Teraz oni będą mogli zostać hydraulikami, bądź spawaczami, kierowcami, słuzarzami, tokarzami, bądź elektromechanikami. Innym problemem są ci, którzy nie dostali się do szkół wyższych.

KULTURA NA EKSPORT

Zawsze ironicznie przy mowałem liczne notatki prasowe, czerpiące powód do „dewizowej” chluby z eksportu ślimaków i grzybów. Czasem notatki

więc dziwnego, że uważa KTT zbiegają się z artykułem Jerzego Urbana w „Polityce”.

Po wojnie za granicę wydano 2.287 książek polskich, reprezentujących literaturę piękna. Przełożono naszych pisarzy na 59 języków. Dopiero jednak w 1966 roku do bardziej metodycznej pracy przystąpiła 18-osobowa Agencja Autorska. Liczba umów na wydanie książek polskich w krajach kapitalistycznych wzrosła o 100 procent.

Jednak jest wiele do zrobienia, byśmy jeszcze bardziej byli obecni choćby w krajach o wielkich grupach ludnościowych pochodzenia polskiego. Chodzi także o „lepszą” obecność na Wschodzie. Należy opiekować się nie tylko karierą poszczególnych pisarzy, karierą książki polskiej. Jerzy Urban zauważa:

Współczesność kilku polskich twórców stoi u progu światowej kariery, lub nawet wysunęła już nogę poza ten próg. Operuje, oczywiście, światowym a nie nadwiślańskim kryterium kariery, bo w tym drugim znaczeniu wystarczy, że Sartre podał komuś rękę — czego zresztą Maestro nie skąpił. Wśród nich to na przykład Polański, Pen-derecki, Lutostański, Mrozek.

JAN OLECHNO

Niektóre sprawy awansu naszego miasta

Dalszy ciąg ze str. 1

czenia wymaga w przypadku Łodzi dodatkowego komentarza — o znaczeniu, jak sądzić, zarówno istotnym, jak i niestety, negatywnym. Wydatna statystyczna poprawa wskaźników zagęszczenia była i pozostaje nadal okupowana między innymi hamowaniem dynamiki przemysłowej miasta, zahamowaniem i podtrzymywaniem zasobów mieszkaniowych fizycznie i moralnie zużytych, krańcowo prymitywnych, nie stwarzających elementarnych warunków bytowania według standardów współczesnego miasta. Wymuszony przez nabołate potrzeby społeczne jednostronny priorytet efektów ilościowych paraliżuje śmielszą modernizację zasobów mieszkaniowych i urbanistyczne zagospodarowanie miasta, zwłaszcza jego śródmieścia i dzielnic starych, jak również rozwiązywanie coraz to bardziej krytycznych problemów komunikacyjnych.

WYPOSAŻENIE MIESZKAN I URZĄDZENIA KOMUNALNE

Swoisty konflikt pomiędzy ilościową a jakościową stroną potrzeb mieszkaniowych, stał się się oczywisty, tym bardziej ostry, im większy dystans oddziela te potrzeby od środków mogących służyć ich zaspokojeniu. W

dystansu, w niedalekiej perspektywie skutecznie zahamować. Mam tu na myśli narastające trudności i ograniczenia w rozwoju urządzeń i usług wodociagowych, a w pewnej mierze także i kanalizacyjnych. Brak długofalowego, opartego o realistyczne przesłanki planowania oraz wypływającej z niego konsekwentnej i sprawnej działalności praktycznej doprowadziły dziś do tego, że Łódź już w latach 1968—74 stanie ponownie w obliczu potęgającego się deficytu wody dla potrzeb i przemysłu i ludności. Szacuje się, iż w 1970 roku deficyt ten wyniesie około 34 proc. łącznego zapotrzebowania wody przez miasto i jego przemysł. W latach dalszych należy oczekiwać wzrostu deficytu zarówno absolutnie jak i względnie. W planowej gospodarce socjalistycznej powstanie takiego stanu rzeczy jest faktem trudnym do pojęcia, a tym bardziej do usprawiedliwienia.

W świetle okoliczności jakie dziś istnieją przewiduje się, że usunięcie deficytu wody i tym samym ograniczeń w rozwoju jej konsumpcji przez mieszkańców będzie mogło nastąpić dopiero pozyskując od 1974 roku, czyli po oddaniu do eksploatacji pierwszego etapu kanału łączącego Pilicę z Łodzią. Opóźnienia do jakich dopuszczono w projektowaniu a następnie realizacji tej kluczowej dla miasta inwestycji wynoszą więc już obecnie 5—6 lat.

Tablica 2. Mieszkania w miastach wyposażone w instalacje w % ogółu mieszkań miejskich.

Miasta	Wodociąg		Ustęp		Zlew lub umywalka		Łazienka		Gaz		Centralne ogrzewanie	
	1950	1960	1950	1960	1950	1960	1950	1960	1950	1960	1950	1960
Polska	42,3	55,4	25,7	35,6	42,4	52,9	14,2	26,0	26,2	33,7	4,9	13,2
Warszawa	58,5	74,3	45,1	63,4	59,1	73,0	26,9	50,3	28,4	53,6	16,5	44,7
Kraków	49,3	67,7	37,6	54,9	49,3	66,5	25,7	44,1	32,7	55,5	5,1	27,3
Łódź	25,8	48,8	15,8	27,3	29,5	49,0	8,7	17,7	11,8	25,1	3,0	12,6
Poznań	65,8	79,1	43,3	53,5	67,5	76,1	29,4	41,0	61,5	67,2	7,2	21,3
Wrocław	71,8	78,4	46,6	55,5	70,4	77,4	26,9	38,0	68,5	79,1	10,4	16,3
woj. gdańskie	68,3	79,2	47,6	55,2	65,8	73,9	23,8	36,0	43,1	49,0	12,4	23,0
woj. katowickie	43,9	59,6	22,6	32,9	42,0	54,4	8,8	23,1	15,9	24,7	2,7	6,6

Źródło: Rocznik Statystyczny gospodarki mieszkaniowej i komunalnej 1965, s. 28.

Łodzi dystans ten był i jest szczególnie duży 2).

Wymownie świadcza o tym wskaźniki porównawcze zamieszczone w tablicy 2.

Bardzo niski punkt powojennego startu w powiązaniu ze względnie (w stosunku do potrzeb) ograniczonym tempem zarówno budownictwa mieszkaniowego nowego, jak i modernizacji zasobów istniejących sprawiły, że nowoczesne uzbrojenie ogółu mieszkań łódzkich pozostaje grubo poniżej średnich wskaźników krajowych. A przecież wskaźniki dla kraju średnie obejmują nie tylko miasta wydzielone, największe i duże, ale wszelkie, wraz z małymi, o przewadze zabudowy drobnej, indywidualnej, w wyposażeniu ubogiej. Wyposażeniowe upośledzenie mieszkań łódzkich — jeden z zasadniczych parametrów określających warunki życia w mieście — dotyczy wszystkich bez wyjątku ważących komponentów. Do roku 1960 nie istniał spośród nich ani jeden o poważnym dla warunków mieszkaniowych znaczeniu, w którym zdołano by przynajmniej osiągnąć średni poziom krajowy.

Dystans dzielący Łódź pod względem wyposażenia mieszkań od największych miast polskich, teoretycznie — porównywalnych najpoprawniej, jest naturalnie znacznie bardziej i rozległy i dotkliwy. Tu utrzymujemy niezagrożoną pozycję dalekiego outsidera. Co więcej, absolutne rozmiary dystansu w uwidocznionym w tablicy dziesięciolatu z reguły się nie zmniejszały. Przeciwnie, w szeregu parametrów i przekrojów porównawczych rosły i to nierzadko dość znacznie. We wszystkich tych przypadkach, mieliśmy do czynienia z wydawaniem się mogło niedopuszczalnym zjawiskiem „roz-wierających się nożyc” na naszą niekorzyść — obiektywnym następstwem realizowanego tempa poprawy wyposażenia mieszkań w Łodzi i gdzie indziej.

Do okresu 1961—65 nie dysponuję materiałem statystycznym tak dokładnym, jak dla dziesięciolatka poprzedzającego. Z danych pośrednich o czym będę jeszcze mówić, bynajmniej jednak nie wynika, aby w pięciolatu 1961—65, czy nawet w pięciolatu bieżącym, proces odrabiania przez Łódź zaległości i dystansu ulegał wzmocnieniu. W niektórych natomiast dziedzinach gospodarki mieszkaniowej i komunalnej miasta, i to w dziedzinach o znaczeniu zgola podstawowym, w okresie tym rysować się zaczęły nowe poważne zagrożenia. Zagrożenia zdolne dalszą poprawę warunków mieszkaniowych, nie mówiąc już o odrabianiu

Podobnie, jakkolwiek — należy sadzić — nie tak ostro przedstawia się najbliższa perspektywa rozwoju urządzeń ściekowych i usług kanalizacyjnych, i tu również daleko do sytuacji, która mogłaby napawać optymizmem. Dotkliwe opóźnienia w przygotowywaniu podstawowej inwestycji na tym polu — nowoczesnej miejskiej (rejonowej) oczyszczalni ścieków, jak również opóźnienia i zaniedbania w porządkowaniu gospodarki ściekowej na terenie przemysłu zagrażają hamowaniem szybszego postępu w rozbudowie sieci i usług kanalizacyjnych.

PRÓBA SPOJRZENIA NA TENŻE PROBLEM POD INNYM KĄTEM

Nie bez pewnej racji można by upierać się, że stopień zacofania mieszkaniowej i komunalnej gospodarki łódzkiej jest wyolbrzymiony. Wynika to z zastosowanej metody liczenia, przyjmującej dające się wyodrębnić „mieszkanie” za elementarną jednostkę obrachunkową. Otóż w Łodzi w stopniu większym aniżeli w innych dużych miastach polskich waga mieszkańca małe, jedno i dwuizbowe, w budynkach starych, pozbawionych nowoczesnego uzbrojenia. Spójrzmy więc na tenże problem nieco inaczej, porównując odsetek ludności korzystającej z podstawowych urządzeń komunalnych: sieci wodociągowej, kanalizacyjnej i gazowej 3).

W 1965 roku, Łódź pod względem wyposażenia w 3 podstawowe urządzenia komunalne (sieć wodociągowa, kanalizacyjna i gazowa) zdołała nieznacznie przekroczyć średni poziom krajowy. Z faktu tego nie można jednak wyciągać pochopnie pozytywnych wniosków. W tej dziedzinie średnie wskaźniki krajowe są bardzo wadliwym punktem odniesienia przy ocenie komunalnego awansu miasta tej wielkości i o tych co Łódź funkcjach. W stosunku zaś do wszystkich porównywalnych dużych miast polskich, a nawet — ogółu miast w województwach bardziej zurbanizowanych, wskaźniki potwierdzają utrzymywanie się wyraźnego upośledzenia łódzkiej gospodarki komunalnej.

Celem uniknięcia uproszczonego porównania i sądów trzeba odnotować, że wskaźniki użyte w tablicy 2 i 3 nie są ani jednorodne ani też bezpośrednio porównywalne. Ich mechaniczne zestawienie nie może stworzyć poprawnego obrazu dynamiki gospodarki komunalnej miasta w latach 1961—65. Można by powiedzieć, że o ile wskaźniki z tablicy 2 dają obraz tej gospodarki i pew-

Tablica 3. Odsetek ludności w miastach korzystający z urządzeń wodociagowych, kanalizacyjnych i gazowych w 1965 r.

Miasta	ludność korzystająca z sieci		
	wodociągowej	kanalizacyjnej	gazowej
Polska	66,9	56,4	41,4
Warszawa	79,7	71,8	67,0
Kraków	76,9	73,3	68,5
Łódź	68,0	62,5	52,6
Poznań	90,6	85,4	76,0
Wrocław	89,2	83,5	82,9
woj. gdańskie	82,3	67,7	51,6
woj. katowickie	79,1	61,3	31,3

Źródło: Rocznik Statystyczny gospodarki mieszkaniowej i komunalnej 1965, s. 240.

nym sensie przeczerpniony, to wskaźniki z tablicy 3 — wybielony. Bardziej masowe w Łodzi aniżeli w innych dużych miastach instalowanie źródeł ulicznych i podwórzowych — wyraz ubóstwa znacznej części zasobów mieszkaniowych — nie wpływa na poprawę wskaźników z tablicy 2, decyduje zaś o pozytywnej dynamice wskaźników z tablicy 3.

Posłużymy się inną jeszcze miarą — wskaźnikiem konsumpcji wody z wodociągów, bądź gazu sieciowego w przeliczeniu na 1 mieszkańca. W przypadku oceny postępów gospodarki wodnej i gazownictwa, wskaźniki te należałoby być może uznać za najbardziej miarodajne. Otóż w 1965 roku zużycie wody z wodociągów w gospodarstwach domowych na 1 mieszkańca w Łodzi (wynoszące 28,2 m sześciu) było niższe o 11 proc. od średniego zużycia we wszystkich miastach kraju, a o 49 proc. od zużycia w Warszawie, o 30 proc. od zużycia w Krakowie, o 27 proc. od zużycia we Wrocławiu i o 15 proc. od zużycia w Poznaniu. Zużycie gazu sieciowego w gospodarstwach domowych na 1 mieszkańca w Łodzi (wynoszące w 1965 r. 77,5 m sześciu) przekroczyło wprawdzie w tym roku średnie zużycie krajowe, było jednak o połowę niższe niż w Krakowie, o 46 proc. niż w Warszawie, o 36 proc. niż we Wrocławiu i o 29 proc. niż w Poznaniu.

W sumie, niezależnie od takiej czy też innej metody liczenia, dochodzimy do stwierdzenia o utrzymywaniu się w 1965 roku nadal niezwykle głębokich dysproporcji pomiędzy stanem gospodarki komunalnej i świadczonych przez nią usług dla ludności w Łodzi oraz w innych dużych i porównywalnych miastach polskich. Nie widzę również dostatecznych podstaw, by akceptować często spotykaną tezę, iż w latach 1961—65 następowało szybką i skuteczne zacieranie mieszkaniowego i komunalnego upośledzenia naszego miasta.

KILKA LICZB UZUPEŁNIAJĄCYCH

Relatywny (na tle innych miast) poziom wyposażenia Łodzi w inne urządzenia komunalne o istotnym znaczeniu dla warunków życia ludności, jak również w niektóre zasadnicze urządzenia usługowe, nie odbiega na ogół od poziomu podstawowych urządzeń komunalnych, o czym była mowa wyżej. Pogląd ten uzasadnia szereg wskaźników porównawczych 4).

Do 1965 roku urządzenie nie było ani jednej dziedziny urządzeń komunalnych lub usługowych o istotnym znaczeniu dla warunków życia mieszkańców, w której sytuacja Łodzi nie byłaby gorsza, albo znacznie gorsza od sytuacji w pozostałych naj-

szkańca konsumpcje wody i gazu sieciowego, najmniej uporządkowane ulice najbardziej deficyt bazy hotelowej, najuboższe usługi handlowe, gastronomiczne i telefoniczne, najtrudniejsze (pomimo 2 wyższych uczelni medycznych w mieście) wyposażenie w łóżka szpitalne. Ta ostatnia dysproporcja w mieście o takiej jak Łódź strukturze demograficznej i takim stopniu aktywności zawodowej ludności jest, jak sądzić, szczególnie rażąca.

ŹRÓDŁA DYSTANSU I JEGO TRWAŁOŚCI

Określenie bezpośrednich przyczyn tego rodzaju dynamiki i poziomu łódzkich zasobów mieszkaniowych urządzeń komunalnych i usługowych w 20 lat po zakończeniu wojny i powstaniu ludowego państwa, w gruncie rzeczy większych trudności nie nastęrcza. Przynajmniej wyjściowa pozostawała ciężka spuścizna XIX-wiecznego rozwoju kapitalistycznego przemysłu i miast przemysłowych na ziemiach byłego rosyjskiego zaboru. Łódź i Zagłębie były tego rozwoju produktami najbardziej klasycznymi. Tu właśnie został on najgłębszy i najtrwalszy swoje piętno, najwięcej rażących zaniedbań i ostrych dysproporcji w warunkach bytowych. Rządzące krajem siły politycznej reakcji i gospodarczy marazm w okresie międzywojennym niczego w tej materii gruntownie nie zmieniły, zmienić nie mogły — a być może, że również i nie chciały. Historyczne zadania uporania się ze złym, krzywdzącym dziedzictwem stałyby więc, jak zwykle w takich razach, przed socjalistycznym społeczeństwem i jego planową, dynamiczną gospodarką.

Przyczyną drugą, która na te pierwsza niejako się nałożyła, była realizowana w okresie powojennego 20-lecia planowa polityka inwestycyjna, zawarte w niej priorytety i proporcje. Rozbudowa zasobów mieszkaniowych miasta, jego uzbrojenie w urządzenia komunalne i usługowe nie może naturalnie dokonywać się inaczej, jak tylko poprzez działalność inwestycyjną. W wielu dziedzinach i sytuacjach wymaga to nakładów znacznych — wieloletnich, wykonywanych z dużym wyprzedzeniem w czasie. Tylko wskutek odpowiednich decyzji inwestycyjnych, w należywym czasie podjętych, a następnie konsekwentnie i sprawnie realizowanych, pojawić się mogą nowe trendy rozwojowe i ich efekty — nowe, odpowiadające założeniom naszego ustroju proporcje zarówno w strukturach galezyowych, jak i regionalnych. W socjalizmie są to działania i procesy przez kierownictwo państwowe i gospodarze świadomie kształtowane, wyrażające ich preferencje i stanowisko. Liczbowa charakterystyka miejsca Łodzi i jej potrzeb w tych procesach przynosi tablica 5.

Przedstawione w tablicy wskaźniki i proporcje inwestycyjne dotyczą lat 1957—67. Dla potrzeb naszego zagadnienia jest to okres wystarczający. Objęcie statystyczną prezentacją i analizą lat wcześniejszych nie jest ani możliwe — ze względu na brak dostatecznie szczegółowych i porównywalnych materiałów — ani też potrzebne. W latach tych przy jeszcze niskich absolutnych rozmiarach dochodu narodowego i akumulacji, niezwykle silna koncentracja wysiłku inwestycyjnego w przemysł i transporcie pozostawała bardzo ograniczone zasoby dla gospodarki mieszkaniowej, komunalnej, względnie usług. Zasoby te były przy tym prawie bez reszty pochłaniane przez intensywną odbudowę stolicy, paru innych zniszczonych w czasie wojny miast o doniosłych dla gospodarki i kultury funkcjach (Gdańsk, Wrocław, Szczecin), jak również — przez zasoskolenie przynajmniej elementarnych potrzeb nowo powstających ośrodków przemysłowych.

Proporcje w podziale nakładów inwestycyjnych na bazę mieszkaniową, urządzenia komunalne i usługowe, jakie ukształtowało

Tablica 4. Niektóre inne urządzenia komunalne i usługowe w miastach w 1965 roku.

MIASTA	Długość jezdni o nawierzchni ulepszonej w odsetkach	Łóżka hotelowe na 10 tys. ludności	Prywatni abonenci telefoniczni na 1000 ludności	Liczba ludności na 1 punkt sprzedaży detalicznej	Liczba ludności na 1 miejsce w uspołecznionych zakładach gastronomicznych	Łóżka szpitalne bez psychiatr. na 10 tys. ludności	Miejsca w kinach na 1000 ludności
Polska	32,0	X	X	173	X	X	X
Warszawa	32,5	33,9	73,4	168	31	94,5	25,1
Kraków	42,9	30,6	36,6	155	28	102,2	19,3
Łódź	25,7	11,2	23,0	182	64	70,2	16,3
Poznań	33,2	28,8	32,2	167	30	79,2	19,2
Wrocław	70,0	22,1	41,8	182	44	85,0	25,0
woj. gdańskie	36,8	17,8	X	170	35	X	23,7
woj. katowickie	41,4	11,0	X	175	32	X	24,6

Źródło: Rocznik Statystyczny gospodarki mieszkaniowej i komunalnej 1965, s. 271, 294. Rocznik Statystyczny 1966, s. 331, 342, 345, 458, 469.

większych miastach polskich. W ogromnej większości przypadków była ona również gorsza od przeciętnej cechującej ogół miast (łącznie z miastami powiatowymi i osadami) w województwach wysoce zurbanizowanych. Mamy więc w Łodzi w porównaniu z innymi największymi miastami Polski największe zagęszczenie mieszkań i najgorsze ich uzbrojenie, najniższa na głowę mie-

w następnym 12-leciu, nie były i nadal nie są w stanie uruchomić szybkiego i konsekwentnego procesu likwidacji względnego upośledzenia Łodzi. Nie mogły i nie mogą skutecznie zacierać różnic pomiędzy warunkami życia mieszkańców naszego miasta

Dalszy ciąg na str. 4

turalnego, co dawało poważną oszczędność. Między innymi z tego właśnie względu wybrano spośród kilku projektów to właśnie miejsce na lokalizację ośrodka. Oddalenie od miasta gwarantowało mu będzie nieodczuwalną ciszę. Ale za to trzeba było zbudować drogę na szczyt w liwej skale i kopać fundamenty na gruncie górzystym. Prace rozpoczęto w 63 roku. Komitet do Spraw Radia i Telewizji jako inwestor włożył w budowę 80 milionów. Całość będzie kosztować 180. Trzeba więc nieustannie mobilizować fundusze społeczne. Czerpie się je z rozmaitych źródeł — od zakładów pracy, klubów sportowych, ze zbiorów i oczywiście z Funduszu Budowy Szkół i Internatów. Finansowanie nie idzie tu tak łatwo jak w Katowicach — kopalnie i huty Śląska pozwoliły szybciej budować i wyposażyć swój ośrodek. Kraków musi być cierpliwy. Teraz jednak, gdy na VIII Plenum padły słowa o przyspieszeniu prac wykończeniowych dla rozgłośni telewizyjnych, zasławiły dla Krakowa lepsze nadzieje.

Spójrzmy na to, co już się zarysowuje na pięciopiętrowym terenie na Krzemionkach. Rozmach budowy jest imponujący. Budynek przeznaczony na redakcję i biura jest już całkowicie gotowy. Właśnie ma luźne się zgrabne, jasne pokoje. Prawie wykończony jest lekki pawilon przeznaczony na restaurację i kawiarnię. Główne prace trwają przy wykańczaniu gmachu głównego, gdzie mieścić się będą studia i ich zaplecze, warsztaty, baza filmowa, magazyny, laboratoria. Reżyserzy, spikerzy, operatorzy dźwięku będą tu mieli warunki luksusowe. Błędzimy po piętach. Nie oszalowane jeszcze ściany, nie ułożone podłogi ujawniają gęsta platanina rur, przewodów, kabli, spłoty drutów, zworników, zawieszonych urządzeń — oszalałymi obrazem radiowej i telewizyjnej techniki. Udało się panu Twardowskiemu, że jak mówi podanie, właśnie z Krzemionek porwany został na księżyc. Musiałby zawstydzić się swego czarnoksiężstwa wobec magii naszych inżynierów telewizyjnych.

A oto serce ośrodka — dwa studia — mniejsze o 250 m kw. powierzchni, drugie prawie dwukrotnie większe. Stoimy w jego ogromnej hali. To przyszłe królestwo reżyserów i artystów, wielka scena dla dramatu, baletu i rewii. Gdy rozglądamy się po rozległym wnętrzu, gdzie zainstalowane będą reflektory, mikrofony, przesuwane się będą kamery, pracować rozgorączkowanymi ludźmi, zaskakuje nas myśl: A więc to wszystko te wysokie mury, te tysięczne aparaty, cały ten olbrzymi wysiłek po to, by powstał obrazek na szklanym ekranie? W atelier filmowym wrażenie jest inne, mamy świadomość, że krecona na planie scena ukaże się oczom widzów w ogromnym powiększeniu. Tu jest odwrotnie — w olbrzymich ramach powstająca scena, pojawi się pomniejszona. I trzeba sobie dopiero uprzytomnić zwielokrotnienie telewizyjnego „obrazka” na milionach telewizorów w mieszkaniach widzów, żeby pogodzić się z tym pozornym paradoksem.

Czy te wspaniałe studia, zapewne bogato wyposażone, będą wykorzystane należycie?

Na podstawie dotychczasowych jego osiągnięć niełatwo o tym sądzić. Mając obecnie do dyspozycji tylko 180 godzin emisji rocznie, w tym tylko połowę w programie ogólnopolskim. Telewizja Krakowska, skąd powana swym słabym wyposażeniem

i brakiem pomieszczeń odgrywa dotąd niewielką rolę. Bardzo ograniczone możliwości w zakresie transmisji przedstawień teatralnych, a zwłaszcza własnej produkcji dramatycznej i reportażu, pozwoliły jej tylko na wypracowanie pewnych form w zakresie działań popularno-oświatowych i kulturalnych. Przypomnijmy pozycje cieszące się powodzeniem w całym kraju a ściśle związane ze środowiskiem krakowskim i jego tradycjami artystycznymi, a więc „Klub pod Smokiem”, programy „Piórkami i węzłem”, „Zapraszamy na wtorek wieczór”, Range „postać telewizyjnych” zdołali tu prelegenci jak profesor Zin, profesor Klemensiewicz, profesor Grzybowski. Na polu oświatowym dobra robota był cykl lekcji o „Wychowaniu obywatelskim” dla kl. VII, w 1964 r. kiedy nie było jeszcze podręcznika dla tego przedmiotu. Po siada też Telewizja Krakowska niezły program lokalny z żywo prowadzoną kroniką, cyklem naukowym „Jak żyć” i popularno-naukowym „Szkiełko i oko”. Ograniczona warunkami, uzależniona jak wszystkie ośrodki prowincjonalne od Warszawy, od wymagań i koncepcji jej redaktorów, nie mogła dotąd Telewizja Krakowska szerzej rozwinąć skrzydeł. A przecież posiada zaplecze kulturalne tak bogate, że może się stać jedną z najlepszych, jeśli będzie mogła i umiała czerpać z niego pełnymi garściami. Jest wszak Kraków wielkim ogniskiem kultury, półmilionowym miastem, w którym działa 120 literatów, w tym kilku wybitnych dramaturgów, 1.500 artystów, miastem gdzie znajduje się 7 teatrów, 11 wyższych uczelni, 20 instytutów naukowych, 17 muzeów. Nawiązanie kontaktów z miejscowymi naukowcami, pisarzami, dziennikarzami, plastykami, aktorami, działaczami kulturalnymi to już dziś pilne zadanie, nad którym czuwać kierownictwo ośrodka. Nie jest ono łatwe. Sa opory i komplikacje. Niskie stawki nie zachęcają do współpracy. Pisanie dla telewizji wymaga opanowania nowej formy, a trzeba, żeby na to warto było się zdobyć. Warszawa na razie niewiele może udzielać miejsca programom ośrodków regionalnych. To też dopiero drugi program, który jak wiadomo ma być uruchomiony w roku 1970 otworzy Telewizji Krakowskiej, szerokie pole działania. Szczęśliwie się składa, że termin ten zbiegnie się z ukończeniem jej siedziby na Krzemionkach.

Ambicje programowe Telewizji Krakowskiej idą w kierunku wyznaczonym przez dziedzictwo historyczne miasta i regionu. To na niej ciąży obowiązek przekazywania jego świetnej tradycji narodowej. Kraków renesansowy i Kraków młodopolski, Kraków dwudziestolecia i Kraków dzisiejszy ze swymi problemami i swą twórczością to rozległa tematyka, która godnie prezentować powinna krakowska antena. Dla realizowania tego odpowiedzialnego programu trzeba będzie zmobilizować sztab pracowników, który dla ośrodka na Krzemionkach przewiduje 380 osób. Toteż pilną troską kierownictwa jest zdobycie na czas ekipy fachowców a więc redaktorów, reżyserów, filmowców, inżynierów dźwięku i scenografów. Rada Narodowa przyrzeka dla przybywających lokale w mieście a specjalnie osiedle mieszkaniowe zaplanowane jest na Krzemionkach. Tak więc dla przyszłych absolwentów szkół artystycznych i dziennikarskich, a zwłaszcza dla Wyższej Szkoły Filmowej i Teatralnej w Łodzi otworzą się wkrótce nowe, szerokie możliwości twórcze.

morzanin”, który leci szybciej niż światło wyjeżdża z Łodzi o godzinie piętej z minutami i przybywa do Gdańska późna nocą, kiedy cały świat pogrążony jest w głębokim śnie. I ta również już śpi: w morzu pluska się stalowa bałtycka gwiazda...

PODRÓŻ SAMOCHODEM

A może lepiej jeździć samochodem? Polski kierowca swoją odwagę i poświęceniem bije na głowę nawet krymskich szoferów zwanych „językami teściowych”. Polski kierowca koniecznie musi przejechać na dachu jadącego przed nim autobusu. Następnie pedał z dzika wprost szybkością wbić się klinem między dwa samochody, które akurat urządziły sobie wyścig. Ale clou programu jeszcze przed nami. Wcześniej się w swoje kierownice, z wybaluszonymi oczyma, szoferzy dwóch samochodów jadących naprzeciwko siebie nie powinni sknecać do tego momentu, póki odległość między zderzakami nie będzie wynosiła kilkanaście milimetrów. Dopiero potem spokojnie rozjeżdżają się w różne strony zupełnie z siebie zadowoleni. Jednakże „wojna nerwów” wciąż trwająca na polskiej drodze kosztuje pasażerów. Wciążają ich z samochodów przy pobliskim szpitalu i niosą na noszach na oddział psychoneurologiczny.

Kiedy twój kolega leży bez życia na noszach, spoglądając w błękitne niebo zamglonym wzrokiem, dobrze jest usiąść na przydrożnym kamieniu i zapalić...

ZAPALKI

Aby zapalić polską zapalniczkę należy wykonać szereg czynności uzupełniających ten proces. Trzeba położyć paczkę na skrzelni z dynamitem (lepiej z nitrogliceryną) potem cały ten majdan oblać benzyną, pobiec po kawałek lontu i wtedy położyć się gdzieś w ukreciu na krótki odpoczynek. Nie należy się zniechęcać jeżeli za pierwszym razem nie z tego nie wyjdzie. Trzeba zapalać lont jeszcze i jeszcze, a po każdej próbie odpoczywać. Jeśli po dziesiątej próbie nie z tego nie wyjdzie, zmuszeni jesteśmy przypalić papierosa u przechodni.

A w ogóle to najlepiej rzucić palenie póki nie jest jeszcze za późno. Polskie papierosy są tak mocne, że naliczyć może tylko człowiek cięższy się znakomitym zdrowiem, człowiek o stalowych wprost nerwach, człowiek o nieprześcignionym poczuciu humoru i o niezwykłej dobroci — Polak.

W SZPONACH ADAMA

W Polsce opiekowała się mną łódzka „Karuzela”. Oczywiście, jestem jej za to bardzo wdzięczny, bo w rzeczy samej na swoim przykładzie widzę, że staropolskie porzekadło „gość w dom Bóg w dom” nie jest jej obce. Jeśli mi nie wierzyacie to daję wam na to moje słowo honoru. Ale wracając do rzeczy. Otóż zajął się mną sekretarz wyżej wymienionej redakcji — Adam, który nie chciał się ze mną rozstać ni w dzień ni w noc. W rozpasaniu swoich uczuć był dla mnie jedno-

ześnie dobra mama, czułym starszym bratem, mądrym oicem i zapobiegliwą kokoszką. Obawiając się, że niezadowolony i gapiący się ciągle na wszystko z otwartymi ustami cudzoziemiec (tzn. ja) zablądzi albo zgubi się na zawsze — Adam strzegł mnie jak oka w głowie. Najpierw karmił z premedytacją dotąd aż traściłem swobodę ruchów, a potem wiozł mnie do hotelu i delikatnie zamykał na klucz, a wczesnym rankiem urządził „anel” przez telefon. Wciąż zaabsorbowany swoim niepokojem o mnie Adam doszedł do wniosku, że dobrze będzie jeżeli na prawej ręce wytatuuję mi numer mojej wizy, ale ja przepraszając go trzaskocznym zdaniem uratowałem się przed tym jeszcze jednym dowodem jego troskliwości.

Ale mimo to (mam na myśli jego t). Adama opieka nade mną byłam prawie wszędzie i widziałem prawie wszystko. I na razie odpuść w nie malowane, żeby nie zapisać żyje i ciesze się znakomitym zdrowiem.

Aż pewnego razu zbuntowałem się. Położyłem się do łóżka i udałem, że śpię. Adam ponatrzyl na mnie i przekreślił klucz w zamku poszedł do domu. Wtedy wylazłem przez okno i po rynnicy z pierwszego pietra zierchałem na ciemne w tej chwili podwórce i rzuciłem się całym sobą w nocne życie Łodzi.

ŁÓDZ BY NIGHT...

„Sim” był zamknięty i taksówkarz klncz powiedział mi o „Casanova”. Drżąc ze strachu wszedłem do tego gniazda roznudy, otwierając szerzej oczy w nadziei, że lada

chwila zobaczę strip-tease, oraz urodziwe a przewrotne nocne kobiety.

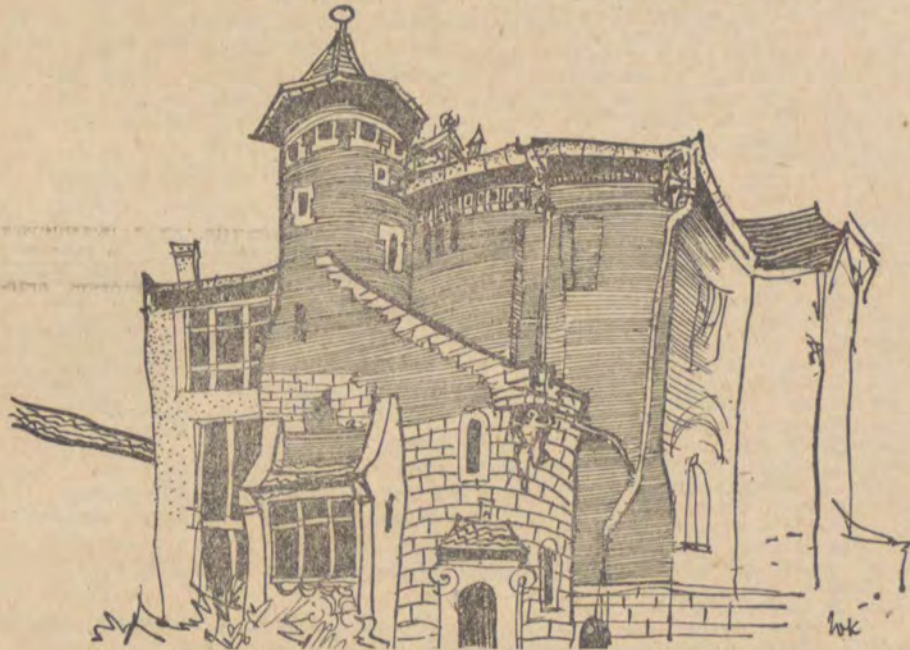
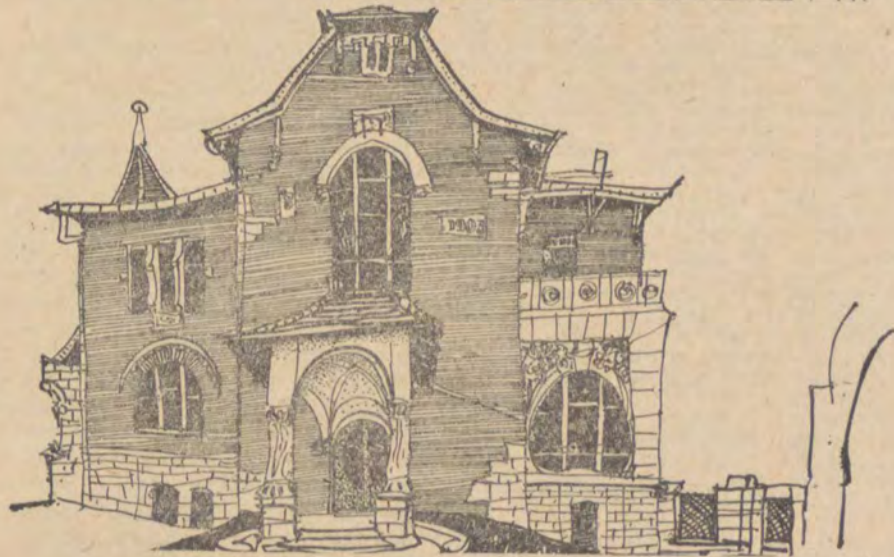
Niestety, wszystko odbywało się tu zupełnie normalnie. Goście tego nocnego lokalu zachowywali się dość gwarnie, ale zachowaniem swym nie przyniosli uszczerbku mojej moralności. Tylko kelner jak lew wciąż odbijał ataki jakiegoś pijanego jegomościa naśladującego głosy zwierząt i ptaków, który usiłował uisnąć ze mną przy moim stoliku.

Po bitwie kelner ze zżalami w oczach błagał mnie abym zjadł chociaż kawałek czekoladki, ale ja nakarmiony przez Adama odmówiałem mu kategorycznie. Zrezygnowany zgodziłem się na kilka matych kaw. Miałem ochotę zatańczyć, w tym miejscu wniwnem zrobić małe wyjąsknienie; adorując Polke, nawet jeżeli jesteś tak sam Casanova albo Marcello Mastroianni — jesteś skazany na absolutną przegraną jeżeli twym rywalem okaże się kilka centymetrów miejsca do tańczenia oraz płyt z nagraniem Krzysztofa Cwynara. Polka chętnie przystanie na mały flirt, ale i tak wszystko skończy się faksotremem i da capo al fine. Długim tak perpetuum mobile całowaniem rak. Nawet trudno sobie wyobrazić ile tkwi w tym pikanterii...

Wracałem z „Casanova” o godzinie piętej nad ranem. Chciało mi się palić, ale jeszcze bardziej chciało mi się spać. I wtedy z całym przeobrażeniem doszedłem do wniosku jak wielka szusznosc miał mądry Adam, który nie pozwalał mi odgrzyzać zbyt wielkich kesów z fajki doświadczenia...

Tłumaczył: ROMAN GORZELSKI

Łódzka secesja



Pałac przy ul. Wólczańskiej 31.

Rys. W. Konaek

wymi i wręczeniem im bezpłatnego biletu aktualnego do końca życia z prawem przejazdu „w tamta stronę”. A ten z pasażerów, któremu się uda odgadnąć z rozkładu jazdy odpowiedni pociąg i nie spóźnić się nań — otrzymywałby bilet z bezpłatnym przejazdem „w tamta stronę” i „z powrotem”. Ot co!

Najprzyjemniejszy jednak jest moment przyjmowania informacji na peronie u sympatycznego staruszka nie wiadomo dlaczego uzbrojonego w wielki pistolet. Dowiedziałwszy się, że jesteś cudzoziemcem, a jeszcze w dodatku z Rosji — dobry staruszek staje się jeszcze lepszy i koniecznie po rosyjsku powie wszystkim: gdzie, kiedy i jak należy jechać, uroni też na pożegnanie i posadzi cie na najbardziej wygodnym dachu nowitkiego poznańskiego pulmana, bo dostać się w tym czasie na dach starego wagonu jest znacznie trudniej, ponieważ teraz cała Polska wraca do domu z Sopotu, Ząbków i Melbourne.

Podróżować na dachu wagonu jest dużo przyjemniej: świeże powietrze, wspaniałe pejzaże, nikt nie stoi na twoich nogach, nie siedzi na kolanach i nie leży na twojej głowie. A oprócz tego dostanie się do wagonu jest absolutnie niemożliwością.

Polski pociąg mknie z oszalałą prędkością wprost szybkością. W żadnym kraju pociąg nie jeździ tak szybko. Zamknawszy oczy w Krakowie — otwierasz je po dziesięciu minutach i myślisz, że jesteś w Częstochowie, ale okazuje się, że nie wychadałeś jeszcze jak należy z Krakowa. Trudno jest mi to nawet wy tłumaczyć. Po prostu — czarna magia. A tak naprawdę ekspres „Po-

„FRANCUZ”

(Fragment powieści)

„Nie, tylko nie o ostatnich jego dniach. Chcę go zapamiętać takim, jakim był w swojej młodości, gdy myśmy byli jeszcze dziećmi. Wołę przywołać z przeszłości jego śmiech, jego hurgotanie i tę zawiadaczką piosenkę, gdy nieraz w sobotę wracał bryczką dobrze po północy, zatrzymując ją przed domem, w którym mieszkaliśmy jeszcze wtedy sami, i zanim ją odstawił do stajni parzył w okna na piętrze, gdzie leżeliśmy czekając aż On wróci. Jego głos nagle zaczynał dudnić, oznajmiając nam, że jest. Że wrócił i niech no tylko które z nas piśnie choćby słowem, on nam wszystkim pokaze co potrafi. Ryczał, ten zatracony Francuz, swoją starą piosenkę przywiezioną z Francji. „Z Szampanii jam wrócił wśród zielonych wzgórz, byłem u Mignon z bukietem róż!”

Czar! He on nam krwi napisał. Mnie i bratu memu, Filipowi, ale przede wszystkim naszej Matce boleściwej. Nie zapalaliśmy światła, żeby nie przybliżył do nas na górę i nie rozbiesił się więcej, leżeliśmy skuleni pod kołdrami, drząc bardziej ze złości, niż ze strachu. On tkł się na dół, trzaskając drzewiczką od kredensu, szczękały naczynia, pewnie doprawiał się jeszcze winem albo miodem. Kiedyś ogluszyła nas nagła cisza, jaka nastąpiła po urwanym śpiewie i potężnym łomocie. Wytknęliśmy głowy spod kołder, potem wysunęliśmy się za progi, aby dudniąc pięta zbiec na dół. On leżał na podłodze martwy, w potokach krwi, w jednej ręce trzymał stary cynowy dzban, dzban zbryzgany krwią, jej struga sączyła mu się z półotwartych ust i plamała białą koszulę, jedną z tych, które nasza Matka nikomu nie powierzała do prania, tylko sama wywabiała z nich najmniejszy cień plamki i wyglądała najdrobniej z zmarszczką. Pochylił się nad nim, ale nie, to nie była krew, to było czerwone wino, rozbiły gąsior szczyrły w kacie swoje szklane szczyrby, wywrócony cynowy dzbanek świecił jasnym dnem. On zasnął tak, nie dopiłszy wina, wino miał na brodzie, na koszuli, nie żadną krew, na półotwartych ustach zasęchło mu czerwona plama wraz z niedokończoną piosenką. „Z Szampanii jam wróci...” Pod głową miał otwartą Biblię, więcocześnie po pijanemu jeszcze szukał motywu, które miał wykute na zamówionym nagrobku, werset Biblii był pokreślony czerwonym ołówkiem, cała Biblia była poznaczona tymi czerwonymi krehami. Uniósł głowę, gdyśmy nad nim przyklekli, spojrzął przytomnie na Matkę i wrzasnął, „był on u Mignon, wieś?” A ona, ta Matka nasza boleściwa, zamiast stuknąć starego opoja w głowę tę Biblię, odpowiedziała „wiem, z bukietem róż”. On przyjął tę jej zgodę, opuścił głowę i — zasnął na dobre. Znalismy tę jego „Szampanię”, skąd wracał nieraz w sobotę po północy, niech diabeł porwa gospode takiego samego Francuza jak nasz ojciec, starego Mateusza, który za przywiezione z Francji pieniądze wystawił sobie na Tyńcu na pół drogi do cmentarza gospode i nazwał ją nie po tułej szemu „U Mignon”. Ułożyliśmy Starego na kanapie, wróciliśmy na górę i leżeliśmy długo w noc, mamrocąc z bratem najgorzej przezwicka, Ona, nasza Matka boleściwa wdechala, przewracając się w sąsiednim pokoju, ostrożnie, aby nas nie budzić, jakby nas już przedtem na dobre nie zbudziła ta jego „Szampania”. Mruzciliśmy może więcej na nią, niż na niego, dlaczego nie weźmie raz tego gipsowego pobrżowanego lwa, którego jej przyniósł na imieniny, czy to nie szalenie, jej zbolalej, bladej jak mgła kobiecie, gipsowego lwa? Niechby gruchnęła nim Starego w łeb, może by oprzytomniał szybciej.

Z jej pokoju sączyła się do nas gorzka woń ziół, piła je zawsze na noc, za oknem wiał raz po raz wstrząsający liśćmi topoli, jakby się zrywał na nią razem z nami, że domem poszczekiwały psy krótkimi, urwanymi skomleniami, pobudzone przez niego i jeszcze nie usłone, ktoś zdawał się chodzić po poletku chmielu, jakby stawał ukryty na tym wzgórku, skąd można było dostrzec wnętrze kredensowego pokoju, gdzie on odprawiał swoje nocne gozdzinki. Ach, czart wcielony!

Kim był ten nasz Rodzic. Creator, ten nasz stwórca, Bóg-Ojciec wspaniały i groźny, któregośmy się bali i nienawidzili go, a może raczej strachliwie uwielbiali, nie śmogąc docekać go się każdej z tych sobót, gdy jechał do Mateusza, póki nie wrócił, nie porozbrał naczyni i mebli na dół i nie zasnął, by przespać cały następny dzień, aby wstać w poniedziałek rano, zanim ktokolwiek z nas zdolał odkleić powieki. Dzwonienie jego rozchodziło się po całej okolicy jak dzwonek na primaryg, stuk młotką i dźwięk o kamień działal poranną ciszę, spod jego ręki wylaniał się z kamienia anioł, albo Matka Boska Boleściwa, wszystkie anioły i matki boskie miały twarz naszej Matki, cmentarz po drugiej

stronie parowu był zatłoczony posagami — podobiznamy naszej Matki, tak było przez wiele lat, póki z kamienia nie wynurzyła się kiedyś figura bez skrzydeł, o twarzy pełnej, zdawało się nam, rumianej, o drobnych łokach, jednym kosmtyku figlarnie opuszczonym na czoło i zakreśnionym w znak zwrotna. Z wypukłych, przystęgliwych czerwonych i mięsistych ust tej postaci o twarzy młodej dziewczyny zdawał się wybiegać cichy stłumiony śmiech: ten anioł nie patrzył w ziemię, ani ku niebu, spoglądał na swoje ciasno stulone pod cienką szatą piersi, niemal widoczne przez kamienny zarys szyi; spod jej brzeżgu wystawały małe pulchne stopy. Stałiśmy z Filipem przed tym nieznanym nam do tej pory aniołem, odruchowo zastawiliśmy go sobą, gdy nasza Matka szła ku nam przez sędzik zarosnięty tylko krzami porzeczek i młodych jabłonek, szybko powiedzieliśmy jej z daleka, tu go nie szukaj, tu go nie ma, w szopie go też nie ma, wziął kosę i poszedł na stok. Spojrzała tam spod daszka dloni, ale zaraz podeszła do nas, zakłębionych, odsunęła, co wy tam kryciecie! wzrok jej padł na tego anioła. Otworzyła usta, stała przez chwilę wpatrzona w ten kamienny posag, my w nią, w naszą Matkę, widzieliśmy, że podniosła rękę do oczu, nie, do czoła, przetarła je palcami, jakby sobie usilowała coś przypomnieć albo uswiadomić, albo może zrozumieć; zepchnęła z czoła białą chustkę, obwiazująca ją sobie zawsze bolejącą głowę; chustka zsunęła się jej na szyję, opadła na plecy. Wreszcie Matka powiedziała samym ruchem warg jakieś imię, uśmiechnęła się do siebie takim uśmiechem gorzkawym i żalonym, jakby czegoś jej było żal, albo jakby się zawstydziała i przeproszała nas za coś. Wtedy Filip szarpnął się, porwał za młotek, krzyknął, ja to rozbije, Matka chwyciła go za rękę, nie wolno, nie wolno, nie trzeba, szepnela, obejrzała się na pagórek, gdzie On szeroki mi wolnym wahadlowym ruchem wycinał w plowej trawie ciemniejszą soczystą bruzde. Zwróciła się do mnie, idź, powiedz mu, niech przyjdzie na obiad, potem szybko odeszła ku domowi. Patrzyliśmy na nią bez słowa, biała chustka poruszała się za nią na lekkim podmuchu powietrza jak weselny welon. Widzieliśmy w kilku następnych dniach Matkę jeszcze parę razy, stała w krzewach porzeczek niby to zrywając je do koszyka, ale byliśmy pewni szukając nieznaczącej sposobności, aby się temu aniołowi dokładnie przyjrzeć. Kiedyś zastał ją tam zmrók, widzieliśmy jak dwie bielejące zjawy, Matka nasza zawsze chodziła w jasnym sukniaku, więc jak dwie bielejące zjawy stały wpatrzona w siebie, jedna ta kamienna, żywa pulsująca niemal krwią, druga ta żywa a jakby na pół martwa, blade jak kamień. Któregoś dnia posag, nagle spostrzegłiśmy, zniknął. Wyszliśmy do sadu i krzyknęliśmy zdumieni nie ma go! Zdumieni, bo nikt nie zajeżdżał, nie ładował nic na furę; po posagu został tylko odciski ślad na ziemi. Ona, nasza Matka, nadeszła za chwilę, zamrugała nieobecny oczami, powiedziała, unosząc ręce do góry, jakby miały być skrzydłami — i nie ma jej już. Powiedziała to z ulgą, Filip zapytał, gdzie jest, gdzie się podziała, Matka wtedy smutnie, jeszcze smutniej jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyła posag, choć już z jakimś zartobliwie gorzkim przydechem; no... pofrunęła... przecież to był anioł, musiał odfrunąć.

Widzieliśmy z Filipem, że to nie był anioł, tylko młoda skrzydłata dziewczyna i że On ją ukrył przed nami, na żaden nagrobek taki anioł z wypukłymi piersiami się nie nadawał. Byliśmy czegoś źli i stropieni, jakby nas Stary wyprowadził w pole, ale jeszcze bardziej stropiła nas nasza Matka. Popatrzyła na nas miłosierdzie, jakby trochę z kpiącym współczuciem. Chciałam o coś zapytać, chyba o to kim była ta dziewczyna, nie, może raczej co miała znać o tej dziewczynie, dla Ojca, dla Niej. Lekkałam się podświadomie, że coś nam groziło i przestało naraz grozić ze strony tej wypukłoustej, o stulonych ciasno piersiach dziewczyny wykutej w kamieniu, ale zaraz Matka parsknęła uśmiechem: sio, sio, wynosić się stąd. Potem poruszyła rękami tak samo jak na kury, które się odganiania z miejsca nie przeznaczono dla nich i — o dziwo — odeszła do domu krokiem lekkiem, zdawało mi się takim samym, jakim mogła być zbiec z podestu tamta młoda dziewczyna.

Przed chwilą byłam jeszcze przekonana, że coś wiem, więcej, takim niewiedzącym uczuciem niż nawet domysleniem się, teraz — nie nie wiedziałam. Nie rozumiałam. Ona zatrząskiwała przed nami jakieś drzwi drzewi odgradzające sprawy ich starszych, dorosłych. Miałam ochotę uderzyć w nie pięcią, z jakimś żalem albo złością. Potem wzruszyłam ramionami; nie, to nie. Poczuliśmy, że Filip ciągnie mnie za rękaw: chodź lepiej do leszczyń, będziemy gonili wieńcówki, wszystkie orzechy nam pojadają. Miał wtedy jeszcze delikatne rumieńce na policzkach, włosy związane nad czołem w gestę loki, dziecinny uśmiech. Był młodszym ode mnie o dwa lata. Był jeszcze bardziej zielony niż ja.

Tragiczny ulubieniec

Dc. ze str. 1

Na prośbę Lomana (adiutanta rosyjskiej cesarzowej — przyp. mój) pewnego razu recytowałem wiersze przed imperatorową. Po wysłuchaniu powiedziała, że wiersze są piękne, ale bardzo smutne. Powołałem się na biedę, klimat itd....

Niniejszym nisko klaniam się wszystkim moim czytelnikom i zwracam ich uwagę na wywieszkę z napisem: „Prosimy do nas nie strzelać!”

Kapryśny i samowolny. Dość poważy, w przeciwieństwie do Majakowskiego, który z trudem torował sobie drogę, za szczęty spotykających najbardziej cenionych poetów. W 125 rocznicę urodzin Puszkina on właśnie w imieniu pisarzy radzieckich składa wieniec przed pomnikiem poety i deklamuje swój wiersz na jego cześć. (Przermówienie, towarzyszące odsłonięciu tego pomnika, wygłoszone 6 czerwca 1880 roku, było jednym z nielicznych życiowych sukcesów Dostojewskiego, który zmarł w kilka miesięcy później).

Blondyn, odznaczał się urzekającą urodą. Odpowiedzialny stosunek do darczących go powodzeniem kobiet? Należy o tym wątpić. Nie wdając się do bliźniaczo w okoliczności, pobieżnie wymieńmy trochę przykładów.

Miał syna z przyjaciółką, Anną Izriadnową, gdy zaczynał od pracy w drukarni Syti-

na. Syn urodził się w 1915 roku.

Syn i córka były wynikiem pierwszego małżeństwa z Zinaidą Rajch.

Szczególnie przejmują dzieje, dramatycznie wpiątanej w życiorys Jesienina, Haliny Benislawskiej. Opuścił ją i wracał do niej. Działo się to w okresie dziwacznej znajomości i mało zrozumiałego małżeństwa ze słynną tancerką amerykańską Isadorą Duncan, reformatorką, szukającą inspiracji we wzorach starogreckich, kładącą nacisk na emocjonalną wymowę tańca. Zorganizowała w Rosji szkołę baletową. Jesienin znalazł tylko rosyjski, Isadora przyswoiła sobie nieliczne słowa z tego języka. Poznali się w 1921 roku. Ona miała wtedy lat czterdzieści, on skończył dwadzieścia sześć.

Schodzili się i rozchodzili.

Biografia tej pięknej kobiety była wielce burzliwa i skomplikowana. Na poparcie tego wystarczy jej wyznanie z tomu wspomnień:

„Żadna kobieta nigdy nie powiedziała całej prawdy o swym życiu. Autobiografie przeważnej części kobiet, to serie sprawozdań o zewnętrznym życiu, drobnych szczegółów i anegdot, które nie rekonstruują ich rzeczywistego życia. Chwile wielkich radości czy wewnętrznych zmagają się tam dzwonne przemilczane.

Moja sztuka jest także próbą wyrażenia w gestie i w ruchu prawdy o mnie samej! (Przekł. Karola Bunscha).

Ba, ale nie wszystkie kobiety wypowiadają się w szulce!

Ożenił się wreszcie z wnuczką Lwa Tolstoją, Zofią. Wspomina o tym siostra poety, Szułra: „Sergiusz natychmiast zrozumiał, że są całkowicie odmiennymi ludźmi, z odmiennymi zainteresowaniami i odmiennymi poglądami na życie...”

Wiele wskazuje na to, że interesował się swoim dziećmi. Poeta i przyjaciel Anatol Marienhof wydał kiedyś książkę o Jesieninie pt. „Opowieść bez kłamstwa”. Znaczący przedmiotem zarzucają autorowi właśnie wiele kłamstw. O małżeństwie jednak Jesienin raz napisał: „Ja do tych hołubi jako koń dżdźlowy nie nadaje się... Nawiąsem mówiąc, jest w tej książce opis, kompromitujący zarówno autora jak i Jesienina. Wykorzystując dziecięcą naiwność i utopijność najciekawszego poety rosyjskiego XX wieku, Wilemira Chlebniowa, zainscenizował publicznie nadanie mu godności „Prezesa Kuli Ziemskiej...”

Halina Arturowna Benislawska urodziła się w 1897 roku. Był z nią w bliskiej zażyłości, korzystał z jej usług, bywała jego jakby sekretarką i doradczą, wysyłał do niej wiele listów. Kiedy Duncan na jakiś czas wyjechała na Kaukaz, Jesienin znowu zamieszkał u Haliny.

Potrącił w szczeroci być okrutny. W marcu 1925 roku wyznał: „Droga Halino! Jesteś mi bliższa jako przyjaciel, ale ani trochę nie kocham cię jako kobiety...”

W niespełna rok po śmierci poety — jak pisze we wspomnieniach Ilija Sznajder — po pełniła samobójstwo na moście ukochanego. Jeden z dwóch listów, zostawionych na moście, brzmiał: „3 grudnia 1926 roku. Popelnilam tutaj samobójstwo, choć wiem, że jeszcze więcej psów będą wiszeć na Jesieninie... Ale i ja mu i mnie jest wszystko jedno. W tej mogile znajduje się wszystko, co dla mnie było najdroższe...”

Wypaliła całą paczkę papierosów. Szóstą dopiero kula ugodziła w serce. Pochowano ją obok Jesienina.

W wierszach podbił wyjątkową szczerocią. Zestawiając niedawną przeszłość z teraźniejszością potrącił napisać:

Siostra bierze w ręce młode Jak Biblię wielki, gruby tom —

KAPITAŁ

Marks, Engels... Cóż, bez względu na pogodę Jam, oczywiście, książkę tych nie czytał.

(Przekł. Jana Brzechwy)

JERZY TYNECKI

Starcie romantyzmów

„Zna życie” powiadają autorce „Pierwszej rundy” czytelnicy — co prawda, nauczyli, którzy na ogół zdają się sądzić, iż życie — jako przedmiot ich zawodowej uwagi — składa się z odchyleń od normy, możliwie skrajnych.

Nie w patologii społecznej jednak, nie w pedagogice specjalnej tkwi problematyka powieści, ale w sferze stosunków matka-córka. Powieść jest pozabawiona dydaktyzmu. Styl jest oszczędny i oddziałuje niekiedy drapieżnością, z jaką obserwują się, nie rozumiejąc, wzajemnie, dwie kobiety; dojrzewająca córka studentki i jej matka. Właśnie na tej bezpardonowej obserwacji (tak widzieć kobietę niedoświadczoną może tylko kobieta), której wyniki relacjonuje się z towarzyskim nerwem, by równowagę to osiabiłający wymowę

całości czynnik wielkiej kultury autorskiej, stanowi zniwalaający walor tej książki. To jest kawałek pisarstwa, i dużo nieklamane ucuciowego uczestnictwa w sprawach ludzkich. Przecież te dwie odpychające się przez pewien czas kobiety kochają się i są sobie potrzebne, zwłaszcza, gdy młodsza gra swoją pierwszą życiową rundę. Jedynie ów bęcserki termin — użyty symbolicznie jako tytuł powieści, traktującej bądź co bądź o kobiecie — mógłby nas trochę bulwersować. Może to być jednak signum temporis: znak czasu, w którym „kobieta, według spostrzeżenia Mauriacca — skądinąd moralisty obrzydliwego, niemniej często werdyka — zyskała równe prawa, aby być porychana w tramwajach.

Choćż zapasy z życiem — jak na „Pierwszą rundę” — temat trochę na wy-

rost. Jego zakres jest nieco większy i prowokuje pytanie, czy nie mamy do czynienia z konfliktem pokoleń ograniczonym do środowiska inteligentnego. Matka Bogdy jest pisarką, Bogda studiuje, rodzina jest poza tym niepełna, brak w niej mężczyzny, wszystko to zwraca pod względem socjologicznym pole obserwacji autorki. Mimo bowiem wyrównujących procesów społecznych, którym podlegają różne warstwy ludności miejskiej, pozostaje wciąż jeszcze w znacznej mierze prawdziwy sąd, iż konflikty dojrzewania przekształcają się w „walkę pokoleń” głównie w rodzinach inteligentnych; w środowiskach awansujących do poziomu kulturowego inteligencji natomiast konflikty takie pozostają na poziomie kontrowersji wokół stylu życia. Dopiero tam, gdzie stałby pewien czas kobiety kochają się i są sobie potrzebne, zwłaszcza, gdy młodsza gra swoją pierwszą życiową rundę. Jedynie ów bęcserki termin — użyty symbolicznie jako tytuł powieści, traktującej bądź co bądź o kobiecie — mógłby nas trochę bulwersować. Może to być jednak signum temporis: znak czasu, w którym „kobieta, według spostrzeżenia Mauriacca — skądinąd moralisty obrzydliwego, niemniej często werdyka — zyskała równe prawa, aby być porychana w tramwajach.

Równiejszą grupę koleżeńską Bogdy poznajemy tylko pobieżnie; w roku jednej przywatki (rozdział I) i potem jedynie z przelotnych konaktów tej młodzieży z domem Bogdy. W powieści jest to psychologicznie uмотywowane tym, iż matka Bogdy nie potrafi przeniknąć mimentyzmu, wzajemnego upodabniania się tej młodzieży w jej reakcjach. Dopiero gdy akcja przenosi się na Bogdę, jej portać się indyidualizując. Skłania to do supozycji, że



Język całego świata

W ciszy zamkniętych nagle instrumentów wszedł na estradę. Ktoś wygłasza słowa powitania, ktoś inny podaje kwiaty. Maestro jest wzruszony. To chwila, na którą czekał 47 lat. Tutaj, w tej orkiestrze rozpoczął jako piętnastoletni chłopiec swą karierę artystyczną, tu w 1915 roku zaczął grać jako skrzypiec. Od wspomnień rozpoczyna swój kontakt z orkiestrą łódzką. Chodziłem wówczas do szkoły — opowiada — ale muzyka była najważniejsza. Dlatego pewno dwa razy robilem maturę. Za pierwszym razem oblałem matematykę. W poniedziałki w szkole były lekcje matematyki, a ja te dni spędzałem na próbie generalnej w filharmonii. W następnym roku dyrektor Szkoły Przemysłowej do której chodziłem dał się przekonać, że matematyką nigdy nie będę i — opuściłem szkołę ze świadectwem dojrzałości.

Ta chwila żartobliwej rozmowy, opowiadanie o tamtych, odległych latach jest potrzebna dla opowiadania wzruszenia. Potem Paweł Klecki rozpoczyna próbę. Na estradę wkracza Johannes Brahms, by zaprowadzić na czas jakiś niepodzielnie. Początkowo wyciszona, spokojna atmosfera próby, stopniowo staje się coraz gorętsza. Dyrygent porwawszy swą wiedzę, pasją muzyczną, młodzieńczym temperamentem. Tak samo za kilka dni, na koncertach, porwie i zachwy ci publiczność.

W czasie przerwy, w niewielkim pokoiku, zaczynamy rozmowę i znów powracają wspomnienia. To dopiero pierwsze chwile pobytu w rodzinnym mieście które opuścił w 1920 roku, by udać się na studia dyrygenckie i kompozytorskie do Konserwatorium Warszawskiego. Po roku opuścił Polskę, by kontynuować studia w Berlinie, do Polski powrócił dopiero w 1959 roku, a do Łodzi w osiem lat później. O 1959 roku występuje w kraju niemal co

roku, ale do Łodzi mimo że stała się o nią dopominał, mimo że tak bardzo chciał uczestniczyć w jubileuszu 50-lecia Filharmonii Łódzkiej, jakoś drogi nie prowadził. Uroczystości tej patronował z daleka, jako członek komitetu honorowego.

Przyjazd do Łodzi odnowił wspomnienia najdalszych lat dzieciństwa i młodości. Zmie niło się to miasto. Dawne blis kie ulice zmieniły nazwy. Mikołajewska? Jak to teraz? Sienkiewicza. A kawiarnia Roszkowskiego? „Łódzanka”. Tam, po kryjomu przed rodzici ami, chodziłem grać w bilar d. Z Pawłem Kleckim przyjechał do Łodzi jego brat Mieczysław również muzyk, stale mieszkający w Warsza wie. On musi wszystko o Ło dzi wiedzieć, objaśnia nowe nazwy ulic, przypomina gdzie, co i kiedy.

Paweł Klecki obiecuje sobie odwiedzić wiele domów. I ten przy Piotrkowskiej 117 gdzie w 1938 roku zmarła matka i ten przy Piotrkowskiej 87, gdzie mieszkał mecenas Mar kow. Dwie kobiety — opowia da — wierzyły w to, że zostaną muzykami. Moja matka i D ani Maków. Ta ostatnia pomaga ła mi, właściwie dzięki niej jestem muzykiem. I jeszcze dom na Żeromskiego 77 gdzie mieszkał ostatnio i moja stara babcia, też na Żeromskie go, przy parku. I ten na An drzeja 43, naprzeciw domu, w którym mieszkał Tuwim, w który mieszkał Tuwim, w który mieszkał Tuwim, w który mieszkał Tuwim. W tym samym domu na parterze mie szkał Maks Barac, później znakomity pianista. Grywałem z nim przez okno sonaty na skrzypce i fortepian. Zmarł w Grecji, na gruzłice.

Łódź to było muzyczne miasto. Tu koncertowali naj więksi muzycy europejscy, tu istniało wiele kameralnych zespołów amatorskich które tworzyli lekarze, inżynierowie itd. Oni to stanowili znako mity, werni publiczność sal koncertowych. Stąd wreszcie wyszło wielu muzyków o światowych nazwiskach jak Rubin stein, Barac i inni. Tradycje muzyczne Łodzi są bardzo stare i bardzo piękne. Choć było to miasto bez kanaliza-

cji, z cuchnącymi rynsztoka mi, o jednej jedynej pociecie na pół miliona mieszkańców. Nad Grand Hotelem mieszko się Towarzystwo Młośników Muzyki. Tam po raz pierw szy w życiu dyrygowałem ze społem orkiestrowym. Koncerty odbywały się w Parku Helenowskim w Parku Staszka, w ogródku Grand Hotelu.

Stucham tych wspomnień i wydaje mi się, że znalazłem się w Łodzi, której nie znam. Która pozostała już tylko w pamięci niecierpliwych a między nimi człowieka, który w tym mieście nie był 47 lat, 47 lat wypełnionych studiami, pracą kompozytorską i dyrygencką, występami we wszystkich nie mał krajach europejskich i Stanach Zjednoczonych i Ameryce Południowej. Prowadził najlepsze orkiestry Europy i Ameryki. W końcu lat 50-tych był dyrektorem filharmonii w Dallas. Od trzech lat jest dyrektorem Filharmonii w Berlinie, a w tym sezonie objął dyrekcję genewskiej słynnej Suisse Romande, z którą występował już w Montrealu na Expo 67 i Nowym Jorku.

W Polsce bywa rokrocznie. W 1963 roku dzięki zaprosze niu Pawła Kleckiego występować na festiwalu „Wrześ sień muzyczna” w Montreux orkiestra Filharmonii Narodowej. W tym roku, po występach w Łodzi Paweł Klecki wyjechał na festiwal do Montrealu z Wielką Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia w Katowicach, solistami i chórem PR i Telewizji. WOSPR da na festiwalu 6 koncertów. Dwa z nich po prowadzi Paweł Klecki, dwa Jan Krenz i po jednym Roberto Benzi i Thomaz Shipper. Orkiestra grać będzie również muzykę polską: między innymi Chopina i Szymanowskiego.

Dziwię się słysząc, że Paweł Klecki mówi najczystsza bezbłędną polszczyzną nie skażoną żadnym cudzoziemskim akcentem, mimo wieloletniego pobytu za granicą. Zna biegle siedem języków. Ale myślę, że najważniejszy jest ten ósmy, a może raczej ten pierwszy język muzyki całego świata, którym przemawia najpiękniej i który jest dla niego najważniejszy. Najchętniej powraca tam, gdzie tym właśnie językiem mówić jest najłatwiej. W tym sezonie dwa miesiące — styczeń i luty spędzi w Moskwie i Leningradzie bo w zeszłym roku zachwycił go orkiestra tamtejszych filharmonii, tamtejsza publiczność, środowisko muzyczne.

Niedawny pobyt w Łodzi traktował jako spóźnioną wizytę z okazji jubileuszu Filharmonii Łódzkiej. Miejsmy nadzieję, że na następny przyjazd nie będziemy czekać do następnego jubileuszu.

Notowała: TERESA WOJCIECHOWSKA

Tele-obiektyw

„CYD” w staropolskich deliach

Kiedy Pierre Corneille ukończył w 1637 roku „Cyda”, rozgorzała wokół tej sztuki istna burza. Były to czasy klasycyzmu i w dramacie panowała niepodzielnie zasada trzech jedności: czasu, miejsca i akcji. Pozornie Corneille wszystkich trzech w „Cydzie” dochował. Akcja dramatu rozrywa się z woli autora w ciągu jednego dnia, stale w bliskim sąsiedztwie pałacu króla Kastylli Ferdynanda, ograniczając się do dziejów miłości Ximeny i Rodriga.

Zgoda, powiedziano, Corneille pomiescił całą akcję w ciągu jednego dnia, ale tak ten dzień nafaszerował wydarzeniami, że rzecz traciła fałsz. Dla chłodnych i wykwintnych formalistów dyktujących kanony literackie w tych czasach „Cyd” był utworem archaicznym, nieczułym, wręcz wulgarnym. Szczególnie drażniły wybuchające raz po raz gejzery romantycznych uczuć.

Ten właśnie spór o „Cyda” stanął mi przed oczyma, gdy Telewizja Polska, chcąc uczcić pobyt w naszym kraju Charlesa de Gaulle'a, wznowiła po przeszło czterech latach od premiery widowisko według sztuki Corneille'a, zapisane na taśmie telerecordingu. Doszedłem do wniosku, że telewizja bardzo uprawdopodobniła jedność czasu akcji.

To co w teatrze odbiera się wyłącznie na zasadzie umowności, z ekranu telewizyjnego zabrzmią prawdziwie, autentycznie. Mały ekran skomprimował wpływ czasu i odległości, uprosił akcję do niezbędnego minimum. I stała się rzecz dziwna. „Cydowi” przywrócone zostały klasyczne jedności. Nawet najbardziej wymagający krytycy XVII-wieczni byłiby chyba usatysfakcjonowani.

Myślę, że jesteśmy tu bliżej zdefiniowania pewnej cechy teatru telewizyjnego, wyodrębniającego go spośród innych rodzajów widowisk. Dla teatru tu klasyczne trzy jedności są czymś naturalnym, powiedzielibym: immanentnym. Mały ekran działa niszcząco na wszelkiego rodzaju dystanse.

Ważny prymitywny przykład. Niewielki ruch ręki, ot, przemieszczenie dłoni aktora na przestrzeni dwudziestu centymetrów, w telewizji nabiera cech szerokiego zamachu. A cóż dopiero wyście aktora poza kadr! To już cała podróż. Gdy Rodrig od

chodzi z pola naszego widzenia, nie dziwimy się, że w tym czasie odbywa wyprawę wojenną i stacza bitwę. Upływ czasu i duże odległości przestrzenne kurczą się w maleńkim telewizyjnym światku proporcjonalnie.

Znaczący to, że zdarzenia odbywające się w rzeczywistości w dużej odległości, albo w znacznym upływie czasu w światku ewokowanym przez teatr telewizji zachodzą jakby tuż obok siebie. I to nikogo ani szokuje ani dziwi.

Ponadto mały wymiar ekranu nie znosi skomplikowanej, wielowatkowej akcji. Dążnością wszelkich telewizyjnych adaptacji jest więc uproszczenie akcji, oczyszczenie jej ze spraw ubocznych, oplatających ją jak bluszczy. Tak miała się rzecz i z adaptacją „Cyda” dokonaną przez reżysera widowiska Ludwika René. Odpadło wszystko, co zaciemniało obraz. Padła ofiarą adaptatora postać interesująca anachronizmy kostiumowe, „Hamleta” można grać we frakach i wieczorowych sukniach współczesnych. Trzeba jednak wiedzieć, po co się to robi, czemu anachronizm ma służyć?

W wypadku inscenizacji telewizyjnej Ludwika René ten zamysł kostiumowy nie wiadomo co ma na celu. Bohaterowie przemawiają polszczyzną, która spływała spod pióra Andrzeja Morsztyna, jasnie wielmożnego podskarbie go wielkiego koronnego. To prawda! Ale to nie zmienia faktu, że im podskarbi był tylko tłumaczem. Podkreślenie jego roli polskimi kostiumami, moim skromnym zdaniem, jest śmieciem lewą ręką do prawego ucha.

Dzięki Zofii Mrozowskiej i Ignacemu Gogolewskiemu, te dwie sinusoidy uczuć, z któ-

rych jedna opada, gdy druga się podnosi i na odwrót, nabrały charakteru jakichś zdeteminowanych samouniecstawiających się sił. Konflikt Ximeny i Rodriga nabrał nowego wymiaru.

Sięgając po „Cyda” René zrezygnował z popularnej, wykorzystywanej z reguły przez teatry adaptacji Stanisława Wyspiańskiego z 1907 roku. Może właśnie dlatego, że Wyspiański nie przełożył „Cyda”, lecz go zaadaptował. Wład adaptacja adaptacji? Już leniej było oprzeć się na XVII-wiecznym przekładzie Andrzeja Morsztyna. W tym właśnie przekładzie w roku 1861, a więc jeszcze za życia Corneille'a wystawiono „Cyda” na Zamku Warszawskim.

Jednego tylko nie rozumiem, po co Otto Axer ubrał Don Diega i Don Gomeza w kostiumy polskich wielmożów z XVII wieku? Co reżyser chciał przez to przebranie osiągnąć? Bywają interesujące anachronizmy kostiumowe, „Hamleta” można grać we frakach i wieczorowych sukniach współczesnych. Trzeba jednak wiedzieć, po co się to robi, czemu anachronizm ma służyć?

W wypadku inscenizacji telewizyjnej Ludwika René ten zamysł kostiumowy nie wiadomo co ma na celu. Bohaterowie przemawiają polszczyzną, która spływała spod pióra Andrzeja Morsztyna, jasnie wielmożnego podskarbie go wielkiego koronnego. To prawda! Ale to nie zmienia faktu, że im podskarbi był tylko tłumaczem. Podkreślenie jego roli polskimi kostiumami, moim skromnym zdaniem, jest śmieciem lewą ręką do prawego ucha.

Władysław Gronowicz

Spektakle tygodnia

TEATR NOWY	„Blacharz burmistrzem” 3 spektakle	600 — 35%
	„Sonata Bełzebuba” 2 spektakle	400 — 35%
TEATR NOWY Mała Sala	„Śluby panieńskie” 2 spektakle	300 — 75%
	„Świerszcz za konimem” 2 spektakle	300 — 75%
	„Skiz” 1 spektakl	200 — 100%
JARACZA w TEATRZE ROZMAITOSCI	„Ogniem i mieczem”	1551 — 82%
7.15	„W czepek urodzony” 2 spektakle	844 — 100%
POWSZECHNY	„Klub Kawalerów” 2 spektakle	600 — 47%
	„Mocne uderzenie” 2 spektakle	500 — 40%
	„Derby w pałacu” 2 spektakle	750 — 50%
TEATR WIELKI	„Książ Igor” 1 spektakl	1276 — 100%
	„Carmen” 1 spektakl	1276 — 100%
	„Halca” 1 spektakl	1250 — 90%
	„Straszny Dwór” 2 spektakle	2300 — 90%
	„Rigoletto” 1 spektakl	1085 — 85%
	„Pan Twardowski” 1 spektakl	1276 — 100%
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Ktoś nowy” 5 spektakli	906 — 60%
	„Kamerdyner” 5 spektakli	1162 — 81%
FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne	800 słuchaczy — 55%

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Mamy nareszcie niezłą, polską komedię, jest nią film Sylwestra Chęcińskiego „SAMI SWOI”. Bez większego halasu wokół swego osobu Chęcińskiego udowodnią powojennej widowni, że potrafi robić filmy, które się liczą. Nie są to rzeczy rewelacyjne, nie posiadają jakiejś wybitnej klasy artystycznej, są jednak przyzwoitą filmową robotą. A co chyba istotniejsze, filmy Chęcińskiego legitymują się autentyzmem spraw, które podejmują. Przypomnieć tu trzeba „Agnieszke 46” i „Katastrofę”, która ukazywała pewne istotne sprawy naszej rzeczywistości bez taniego dydaktyzmu i psychologizmu. Po „Agnieszce 46” w „Samych swoich” powraca Chęciński do obrazu pierwszego okresu osiedlania się Polaków na Ziemiach Odzyskanych. Tym razem

obraz ten ukazany jest w konwencji komediowej. Bohaterowie filmu to chłopcy, którzy po wojnie opuścili biedną, kresową wioskę i osiedlają się na Ziemiach Zachodnich. Wybierając konwencję komediową scenarzysta A. Mularczyk i S. Chęciński postawili w swym filmie na swoistą egzotykę tych czasów i miejsc. Tej decyzji zawdzięczają swój sukces. Z perspektywy bowiem lat ten pionierski okres nabrał przecież swoistej egzotyki. Normalne życie na tych ziemiach rodziło się w okolicznościach nie tylko dramatycznych. Spotkania ludzi, których ściągnęły na te ziemie różne racje oraz zdobywanie tam miejsca dla siebie miały również swój inny wymiar. Ludzie przywozili tu nie tylko swój skromny dobytek, lecz również swe oby-

czaje, charaktery i temperamenty. Obok siebie rozpoczynali życie chłopcy, których życiu ziemia nadawała inną rangę i cwaniacy, ściągali tam przez inne możliwości. Byli i ci, od których zależała organizacja życia na tych ziemiach. Wszyscy oni stawali wobec nowych szans życiowych.

Ale film Chęcińskiego ma nas przede wszystkim bawić. Toteż realizm obrazu tamtych czasów musiał przejść przez pryzmat komedii, a nawet groteski. Komediowy charakter filmu, określają sytuacje, których komizm opiera się na dwóch głównych wątkach: dzieciach dwu skłóconych rodzin chłopskich, których los wspólnie przeniósł ze wschodnich kresów na Ziemię Odzyskaną oraz na owych nieomal

egzotycznych wydarzeniach, w których uczestniczą owi pionierzy. Film zawdzięcza też wiele naprawdę dowcipnym dialogom i świetnej galerii typów i charakterów ludzkich. Cieszą komizmu postaci spoczywa przede wszystkim na dwu aktorach, którzy mogą odnotować w swej pracy jeszcze jeden sukces; myślę tu o Wacławie Kowalskim i Władysławie Hańczy. Trzeba jednak przyznać, że nie ma w tym filmie aktorów, którzy nawet w epizodach nie przysłużyliby się dobrej zabawie, poprowadzonej przy tym w naprawdę dobrym tempie.

Żeby nie zapeszyć, nie będziemy wspominać nic o naszych, wcale zreszta nie tak bardzo poważnych zastrzeżeniach i małych żalach wobec „Samych swoich”.

Do repertuaru kin studyjnych włączono ostatnio jeszcze jeden film bułgarski — jest nim „EZWCLENIE NA SLUB”. Zakwalifikowano ten film do rozpowszechniania w tych kinach, uznając zapewne jego kształt formalny za nowatorski i trudny. Jak wiemy, nowatorski nie musi znaczyć dobry. Bułgarscy filmowcy proponują nam tu swoją rodzimą odmianę „cinéma-

verité”, które dziś nie jest w kinematografiach świata niczym nowym, co więcej, w swym czystym wydaniu nie pojawia się już na ekranach. By oddać filmowi sprawiedliwość trzeba przyznać, że jego twórcy poszukiwali nowych rozwiązań formalnych. Pierwszą częścią filmu, nudną i mało odkrywczą w sensie prawdy jaką miała nieś, a utrzymana w konwencji „cinéma-

verité” zestawili z historią zainscenizowaną. Druga część filmu jest okupacyjnym wspomnieniem kobiecia, która będąc świadkiem szczęścia i bezdroży młodych par wstępujących w związek małżeński, powraca pamięcią do tragicznych okoliczności własnego ślubu przed wielu, wielu laty.

W efekcie otrzymaliśmy dwa różne filmy. Owa część druga kon-

trastowo różna w klimacie i formie od pierwszej wychodzi zwycięsko z porównania. Sam pomysł zderzenia dwu konwencji artystycznych i odmiennego nastroju obu części filmu nie wzbogacił jednak ogólnego wrażenia. Dwie części filmu żyją własnymi prawami, pomysł nie sprawdził się pozytywnie.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



H. G. Adam — „Spiąca kobieta” (1945)

ZMARŁ HENRI-GEORGES ADAM

W wieku lat 63 zmarł na atak serca francuski rzeźbiarz Henri-Georges Adam. Z zawodu był on złotnikiem, ale też jako utalentowany

rzeźbiarz i dekorator sceniczny. O jego karierze artystycznej zdecydował sukces jaki zdobył sporządzając dekoracje do „Mueh” Sartre'a. Rzeźby Adama zdobyły mu uznanie i przyjaźń Picassa. Uprawiał też grafiki i tkactwo artystyczne.

PARYSKIE BIENNALE

Plac Paryskie Biennale rozpocznie się z końcem września i weźmie w nim udział artystów z 57 krajów.

Paryskie Biennale zostało zainaugurowane w roku 1959 i od tej pory cieszy się znaczną popularnością, zwłaszcza wśród młodych twórców wszystkich dziedzin sztuki.

Organizatorzy Paryskiego Biennale uważają, że głównym założeniem wystawy jest danie przede wszystkim młodym możliwości śmiałego wypowiedzenia się i wzajemnej konfrontacji nowych, oryginalnych twórczych pomysłów.

W roku bieżącym biennale poszerzy się o trzy działy. Będą to: architektura, fotografia i medalierstwo. Jeśli chodzi

o architekturę, to makiety prac o charakterze monumentalnym zostaną pokazane pod gołym niebem.

Wśród projektów zgłoszonych zostały dzieła związane z zagadnieniami urbanistyki i socjologii. I tak np. pokazany będzie projekt całej nowoczesnej ulicy, wkomponowanej w nowoczesną dzielnicę miejską, projekt osiedla rekreacyjnego na wyspie na morzu, projekt ruchomego muzeum itp. Fotografia reprezentowana będzie przez najrozmaitsze kierunki i techniki od fotografii realistycznej do całkowicie abstrakcyjnej. W dziedzinie medalierstwa, tej jednej z najstarszych gałęzi sztuki artystycznej, zostaną pokazane nowe kierunki i tendencje. Na Biennale Paryskim zostanie uczczona pamięć tragicz-

nie zmarłego rzeźbiarza Sklavosa. O jego okropnej, tragicznej śmierci pisaliśmy na tym miejscu w lutym. Gerakimos Sklavos, młody rzeźbiarz pochodzenia greckiego, zdobył zaszczytne wyróżnienie na Paryskim Biennale w roku 1961. Medale wykonane według projektu Sklavosa zostaną wroczone laureatom tegorocznego biennale. W ramach wystawy przewidziane są też przedstawienia teatralne, projekcje filmowe, koncerty, spotkania poetyckie itp.

KTO ZAGRA WALENTYNE W FILMIE ALBICOCO?

Dwukrotnie pisaliśmy już o przygotowywanym przez młodego reżysera francuskiego Albicoco, filmie na podstawie słynnej książki Alain-Fourniera pt. „Mój orzyciel Meaulnes”. Ostatnio francuski tytuł „Paris Match” przynosi interesujące szczegóły na temat wyboru do nakręcanego filmu aktorki Juliette Villard, która zagra rolę Walentyny, narzeczonej młodego de Galals.

Osiemnastoletnia Juliette Villard była baletnicą opery w Marsylii. Podczas jednej z prób potknęła się i zwichnęła nogę i to tak nieszcześnie, że jej kariera baletnicza skończyła się. Juliette słysząc o tym, że Jean-Gabriel Albicoco zastanawia się nad obsadą ról w swoim filmie, posłała mu swoją fotografię. Reży-



Juliette Villard

ser uznał, że ta dziewczyna o dużych czarnych oczach dziecka i łagodnym wyrazie twa-

rzy, doskonale nada się do roli Walentyny. Nakręcaniu filmu towarzyszył jednak wyraźny pech. Jean Blaise (prawdziwe nazwisko Mirosław Brożek) występujący w roli Meaulnesa zachorował na żółtaczkę. Albicoco i jego ojciec Quinto (główny operator) spadli z rusztowania, Quinto złamał rękę, Albicoco potknął się, a na dodatek Brigitte Fossey, grająca rolę Yvonne de Galals skaleczyła sobie czoło. Juliette Villard miała w tym czasie silny katar. Przez wano więc na jakiś czas nakręcanie filmu, ale Juliette Villard otrzymała wkrótce propozycję wystąpienia jeszcze w dwóch filmach.

WYSTAWA SCIENCE FICTION

Niedawno pisaliśmy o wciąż wzrastającym zainteresowaniu robotami, androidami, maszynami spełniającymi funk-



cje ludzkie i związanymi z tym zagadnieniami fantastyki naukowej — science fiction.

Ostatnio w Bernie wystawa science fiction zgromadziła około trzy tysiące widzów przedmiotów, dokumentów, książek, zabawek, ilustracji, zdjęć filmowych, obrazów, rzeźb — wszystko co zdolano zebrać, a co odnosi się do zagadnień naukowej fantastyki.

Na wystawie znalazł się też m. in. robot, który wykonuje najrozmaitsze czynności, a kierowany jest krótkimi falami radiowymi. Pali tytoń, spaceruje, tańczy sambe i gra na instrumencie.

Jak wynika podobno z wystawy berneńskiej za gadnienia fantastyki naukowej, które dziś tak fascynują twórców i nie tylko twórców, cieszyły się zainteresowaniem już od bardzo dawna. I tak np. w starożytnej Mezopotamii powstał około dwa tysiące lat przed n.e. epos o Gilgamezu, władcy państwa Uruk. Twórcami tego starobabilońskiego eposu byli Sumerowie. W epo-

die tymi spotykamy wyimaginowaną podróż przez groty, które zamieszkują istoty dziwne i nieznanne. W tymże eposie mowa jest o ziele życia. Spożycie ziela zapewnić miało nieśmiertelność. Podobne zagadnienia fantastyki naukowej pomieszały lub graniczyły z elementami bajek arabskich, w przepowiedniach starożytnego Egiptu, w średnio-wiecznych legendach. Później tacy pisarze jak Cervantes, Voltaire, Cyrano de Bergerac (autor książki pt. „Podróż na księżyc”), Swift i wielu wielu innych fascynują się coraz bardziej światem naukowej fantastyki. Dziś science fiction ogarnia coraz szersze dziedziny — komiks, filmy, kartki pocztowe itp.

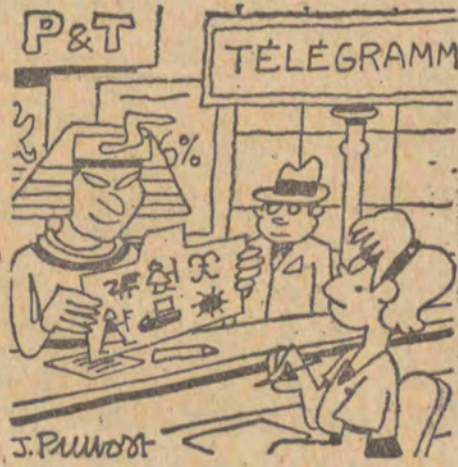
TUTENCHAMON WRACA DO EGIPTU

We wrześniu zakończyła się w Paryżu wielka wystawa Tutenchamona (XIV w. przed n.e.). Od daty jej otwarcia 18 lutego br. zwiedziło wystawę 1.250 tysięcy osób, wśród nich 100 tysięcy dzieci. Prasa francuska podkreśla, że

PIRACI W BBC

Tytuł tej notatki brzmi nieco groźnie i tajemniczo, ale pragniemy uspokoić czytelników, że chodzi o piratów z „pirackich” radio stacji, jakie do niedawna działały (i zarabiały mnóstwo pieniędzy na reklamach) u wybrzeży Anglii. Z trudem, ale uporano się z owymi stacjami i zlikwidowano je niemal całkowicie. Z końcem września BBC ma nadawać na jednej z nowych fal krótkich audycji, w których występować będzie 17 osób z byłych radiostacji pirackich. Pojawienie się tych młodych, długowłosych i dziwacznie ubranych ludzi w gmachu BBC wywołało niemałą sensację. Byli piraci ma ją zarabiać więcej niż na statkach.

tyłe dzieci nie odwiedziło jeszcze nigdy żadnej wystawy sztuki. W niektórych tygodniach frekwencja zwiedzających wynosiła 10 do 12 tysięcy osób. Ogólna suma zebrana za opłaty wstępu osiągnęła 4.500 tysięcy franków, z której jednak większa część zostanie przekazana do Egiptu.



— Co znaczą te hieroglify? — Pobyt w Paryżu zakończony. Stop. Wracamy. Podpis: Tutenchamon. („Le Figaro”)

Notatki na MAR GINESIE

Mielśmy trudne dzieciństwo: tatuś pił, mamusia zagryzła się na śmierć, mieszkaliśmy w dzielnicy o złej opinii, sąsiedzi nas demoralizowali. A mimo to wyrosliśmy na przystojnych, błyskotliwych i czarujących Polaków. I jesteśmy sympatyczni.

Państwo mi nie wierza? Ale na pewno uwierzyacie popularnemu tygodnikowi „Paris Match”. Oto wyniki jego tak dla nas pochlebnej ankiety.

LE PAYS DE L'EST LE PLUS SYMPATHIQUE AUX FRANÇAIS.

Parmi les pays suivants, quels sont les deux pour lesquels vous avez le plus de sympathie?

Ont été cités parmi les deux pays les plus sympathiques :

Pays	%
La Pologne	71
La Hongrie	30
La Yougoslavie	22
La Roumanie	16
La Tchécoslovaquie	12
La Bulgarie	6
Ne se prononcent pas	31

Jaka radość! Co tam radość... Jakże święto! Co tam święto — to więcej niż święto: Alleluja. Hossanna. Sto lat! A wszystko dlatego, że na-

reszcie mamy — jak się zdaje — nadzieję na własną, polską drogę do pocketbooks, czyli popularnej książki kieszonkowej. Kupiłem dziś pierwsze dwa egzemplarze (a złotych 4—) no-

wej serii wydawanej przez Książkę i Wiedzę. Okładka przydałaby się nieco bardziej „handlowa” — szczególnie, że to literatura trudna przez wielkie L: Conrad, Hemingway, Faulkner, Iwaszkiewicz. Będziemy czytać z rozkoszą w pociągu, w autobusie, czekając u dentysty na wyrwanie zęba i czekając w domu na wygranie miliona w Totó.

Wiadomej maści publiczności NRF od dawna robią wszystko co w ich mocy, by wykazać, że Polska ponosi winę już nie tylko za wybuch ubiegłej wojny, lecz również i za eksterminację Żydów. Trzeba powiedzieć, że znajdują w tym zbrojnym dziele cenną pomoc u wielu pisarzy (w tym również, niestety, żydowskich), a także i u niektórych historyków.

Dziś o tych ostatnich. Oto „Spiegel” — pismo solidne i nawet liberalizujące — drukuje w ostatnim numerze obszerny esej o europejskich źródłach antysemityzmu. Wśród głównych oprawców europejskich

Żydów od średniowiecza, pismo wymienia na pierwszym z pierwotnych miejsc Polskę, co jest oczywistym historycznym fałszem. Oto co pisze „Spiegel”:

„W Polsce i na Litwie było w 1648 roku ponad pół miliona Żydów. Z tego wymordowano w tym roku do 200.000, a ogromne ilości sprzedano do Turcji, w niewolę. Łańcuch takich pogromów, inspirowanych odgórnie, nie przerwał się aż do 1914 roku itd. itp.”

Oto piękna metoda historyczna: Polski pogrom Żydów już w 1648 r. (notabene w roku kiedy pod Korsunem, Piławcami i Żółta Wodą, kiedy to setki tysięcy Żydów ratowało się ucieczką do Polski). Jeszcze parę takich przyczynków historycznych, a czytelnik na Zachodzie przelnie i „polskie obozy koncentracyjne w Oświęcimiu i Treblince”. A potem w podręczniku historii będzie można już bez obaw o protesty narisać np. tak:

„W latach 1939—1945 administracja niemiecka nie zdołała zapanować nad pogromem, trzecim w historii od wczesnego średniowiecza. Tak zgi-

nęto około 3.500.000 Żydów”.

W tym kierunku przecież ta akcja „Kierza”.

Na sobotnim koncercie prowadzonym przez znakomitego dyrygenta Pawła Kleckiego tylko część sali była zapelniona. Zapewne — początek sezonu w Filharmonii. Ale czy to jedyny powód?

Pani Marysia, znana emokierka, twierdzi np. że to dowód, iż bracia „Polacy nie przepadają za dyrygowaniem.

Pewien mój znajomy reżyser ekspatriowany po latach bezdomności z Łodzi, mieszka obecnie w miejscowości X. Bardzo mu się tam podoba. Wiesz — opowiadał mi — Pan Profesor (tak nazywają tam ojca miast) ma dziwne zwyczaje: jego sekretarka raz na kwartał telefonuje do mnie i w imieniu Pana Profesora przekazuje pozdrowienia, pyta co słychać, czy nie mam jakichś kłopotów, w których oni mogliby mi pomóc itp. itp. Ja oczywiście wiem, że to

biurowa rutyna, że ta pani ma jakiś spis telefonów, które w ten sposób załatwia, jednym słowem, że to gest kurtuazyjny — ale mimo to zawsze mi jest bardzo przyjemnie. Bo to stwarza klimat. A jak tam u was w Łodzi? — U nas? — powiedziałem. — U nas w śródmieściu z telefonami są ogromne kłopoty. Linie są bardzo przeciążone.

„Dziennik Łódzki” (5.IX. br.) przyniósł na pierwszej stronie dwie sensacyjne wiadomości. Pierwsza, że na kongresie naukowym w Wiedniu kardiokhirurdzy omawiali udany eksperyment ze sztucznym sercem. Druga, że w ogródku „Tivoli” zaczęto smażyć kiełbaski i szaszłyki z rożna.

Jestem chory na serce, jakże cieszy taki postęp medycyny. Jestem łakomy, jakże cieszy tyle powakacyjnej inicyjatywy w łódzkiej gastronomii. A w ogóle — postęp, postęp na całej polaci.

Marianne Błachnicki

Bez strachu

PUSTE MIEJSCE

Zalóżmy, że posuchaliśmy moich rad z poprzedniego felietonu i strach, ów nieproszony gość, został wypchnięty za drzwi naszej świadomości i naszych snów. Po zostało puste nasycone tylko tlenem miejsce, miejsce, w którym łatwo, a zbyt łatwo oddychać, bo nic nam nie „zapiera dechu” — scena bez aktorów — teatr duszy jest pusty. Oto czysto wewnętrzne, immanentne konsekwencje przelamania strachu. — A jego konsekwencje biologiczne i społeczne?

Oto przechadzając się po lesie spotykam żmije, wyścigam do niej rekę — zmija kasa mnie i ginę... Otóż wcale nie... Brak strachu nie pozbawia mnie wiedzy o szkodliwości ja du żmii. Unikam zatem spotkania ze żmiją, a jeżeli już zostalem ukąszony, to myślę trzeźwo i szybko, bez emocjonalnych z kłóć podajam najkrótszą drogą do punktu, gdzie otrzymuję właściwą surowicę. Być może strach w minionych epokach spełniał obok funkcji szkodliwych, także funkcje pozytywne — uruchamiał adaptacyjne mechanizmy chroniące życie. Rzecz jednak w tym, że funkcja tej obecnie już nie spełnia — zastąpił go rozwinięty rozum. „Rozumnie ludzki, tyś wielki przed Panem” — tak pisałby dzisiaj Mikiewicz. Wechodzę do pokoju i w towarzystwie zastaję piękną kobietę — tak zwani psychologowie głębi uznaliby jeszcze kilkadziesiąt lat temu, że od natychmiastowego zdobycia jej powstrzymuje mnie jedynie strach, strach przed reakcją otoczenia, przed konsekwencjami społecznymi — nieprawda, nie prawda! Powstrzymuje mnie przed podobnym krokiem myśli, że kontakty czyste fizyczne, którym nie towarzyszy przyjaźń, są nieopłacalne w trzeźwym obliczeniu rachunku życia. Ze sto, tysiąc razy więcej zyskam odgrawszys gre miłosną w której najśmielsze kłamstwo zrosi nie się w sposób dla nas niedostrzeżony w najczystszej prawdzie i ten właśnie cudowny proces przelotowania daje miłość, godność i potęgę.

Jaka tu więc rola strachu? Puste miejsce psychiki wypełnia się powoli i zamiast owego wygnanego staroświeckiego histriona i prawdziwych artystów i toczy się wielka gra nie skazanej obecnością strachu myśli. Oto wstyd i litość — uczucia doznające oczyszczenia dopiero w zawiłej intrydze dramatu. Oto odwaga, która wcale nie jest przezwyciężeniem strachu — z przezwyciężeniem strachu, ze starcia z nim powstaje może jedynie spazmatyczne zachwiałwo. Odwaga jest energią realizowaną w dobrej, rozumnej sprawie — działa w przestrzeni wolnej od strachu. Wygnany bożek ma licznych wyznawców oczekujących jego powrotu, przyspieszających jego powrót. Ludzie ci wstępują na obecną w rzeczywistości przyczynę strachu. „Trzeba się bać...” — mówi, telefonują, piszą. Zapewne dla tych, którzy czują strach zbliża się jego przyczyna w każdej przedmiotowej rzeczywistości — nawet w takiej, którą sami konstruują. Robią tak dlatego, że ich sen i jawa, po wygnaniu strachu, po zostały pustym miejscem — w miejscu tym, po wypędzeniu starego histriona, nie znaleźli się prawdziwi artyści.

BERNARD SZTAINERT

Klezmerskie wesele

Z pamiętnika Piotra B., co jest mu zykłem i zjadł zęby na weselach i chrzestach.

Kupiłem sobie nowa trabkę. Akurat się rozgrywał, a tu przychodzi Borys, żebyśmy szedł z nim na chałturę.

— Ile?

— Trzy paczki. Ale będą boki. Wiesz, u mnie zawsze są boki.

Dobra. Dał mi adres, nazwisko gospodarza, bo to było wesołe, i wyskoczył na mia sto szukać bebnisty, a ja się trochę przespałem przed harówką, a jak przyszedł więc czar — włożyłem czarny garnitur, wypiliem pół szklanki oliwy, żeby się za szybko nie upić i pojechałem na ulicę Zachodnią, i prze straszylem się, gdy zobaczyłem to mieszkanko, ciupka taka w blokach, dwa pokoje, drzwi wyjęte z zawiasów, bo się stoły nie chciały pomieścić, trzydzieści osób, czterdzieści litrów, dym, zamieszanie, panna młoda przed lustrem mierzy szaty, a pod ścianą rozkłada się orkiestra. Borys ze swoim odranym kontrabasem. Skrzypek stary, memłok bez zębów, co wyrywał już chyba wszędzie — na odpustach, przy pologach i otwarcu klozetu miejskiego. W dodatku jeszcze ten pałker, nie znałem go dotąd, za wielkim, strażackim bebnem, na którym sobie farba wymalował: PANAMA JUNG BOYS BOOGIE-WOOGIE.

Wpuścić taka chołosta do domu, to duża odwaga. Grać z takimi — jeszcze większa sztuka. Najchętniej bym uciekł, ale szkoda mi było zarobku, więc przywitałem się ze skrzypkiem i bebnistą, a Borys zapoznał mnie z panem dom, znaczy: ołcem panny młodej, który od razu powiedział:

— Teraz idziemy do kościoła, to zagrać marsza. A jak wrócimy — też marsza. Myn delsona. Potem podcie trucha i do roboty. Byłe rzetelnie, panie Borys, bez długich przerw, bo będę musiał pojechać wam po pensji.

Co jak co, ale Mendelssohna to zna każdy grajek, więc poszło nam jako tako i przy dźwiękach muzyki orszak weselny wytoczył się na ulicę, gdzie czekały zamówione taksówki. Zostaliśmy sami w pustym mieszkaniu, chłopak tylko mały nas pilnował, ale była niedziela, przez radio nadawali mecz bokserski, on się zaczął podniecać, o, Grudzień! Grudzień! — seplen! — Bec, bach! — i wyrzucił chude ramiona, a skrzypek tymczasem przymierzał się do stołu i obrabiał kananki z kiełbasa żując przeciwie resztkami zębów.

Po godzinie taksówki wróciły. Ustawiliśmy się przy drzwiach aby godnie powitać nowożeńców Mendelssohnem. Borys wyszczerzył się na czoło i nastawił kieszeń, bo jest taki zwyczaj, że się trzeba po ślubie orkiestrze odłacz. Ale ci ludzie nie znali się na rzeczy, albo udawali, że nie wiedzą o co chodzi; wymijali Borysa, który nogą zastawiał im drogę i klepał się wymownie po kieszeni; jeden pan młody coś mu wsunął do ręki, myśleliśmy, że sto złotych, a to była pomicia dwudziestka; Borys i skrzypek zaczęli pomrukiwać ze złości, wrzeszcząc Borys wrzucił mnie na stronę i powiedział, że boków co prawda nie będzie, ale on się za to zemści.

— Jak?

— A widzisz pannę młodą?

— No to co?

— A jest w porządku?

— Jest — mówię, bo rzeczywiście była ładna; blondyneczka o drobnutki buzi, pigięk trochę, ale to jej przydadło uroku.

— No to ja ją, wiesz... — powiedział Borys i zrobił jeden klezmerski gest.

Aż mi się nogi ugłęzy z przerażenia. To było do Borysa podobne, Borys jest bardzo przystojny; już parę razy zrobił taka heca na weselach i dostał kiedyś takie cięgi, że tydzień leżał w szpitalu. Złe — pomyślałem. — Nie tylko forsa przepada, lecz jeszcze po głowie można oberwać i nikt mi nie odbierze.

Tymczasem goście siadali za stołem, młodzi pośrodku, inni według starszeństwa i pokrewieństwa, na końcu dzieci, a my przy osobnym stoliku z półlitrowką i talerzem kanapek. Zaczęły się liczne toasty za pomysłność na nowej drodze życia. Przygłuszał wszystkich ojciec pana młodego, drobny człeczyna o czarnej twarzy w wyświechtanym ubranku.

— Tak mówi mi Stachu — krzyczał — żeby im zamiast prezentu dać pieniądze! A ja kupiłem koldref! Bo sobie kombinuję: pieniądze się szybko rozleci, a koldra zostanie. Ale od czego koldra, to se czasem starego wspomną, będą wiedzieli, że od niego...

— Co też pan mówi — skontrował jakiś grubas. — Dzieciom trzeba dać o co prosi. Chca pieniądze, dać pieniądze! A nie tam koldre.

— Co ja mówię! — podskoczył stary. — Ja dobrze mówię. Nie pan mnie będzie poucał!

No i masz. Ledwo się zaczęło, a już się mogło skończyć. Już granda wisiała w powietrzu. Ale od czego orkiestra. Jedni gorączkowo godzili zwałonych, a gospodarz do nas:

— Grać!!!

Zagraliśmy walca.

— Wy mi tu prześcieńcie walcować — powiedział gospodarz. — Na walce jeszcze za wcześnie.

Więc skrzypek:

— A co pan szanowny sobie życzy?

— Tango.

— Już się robi.

Zagraliśmy tango. Potem drugie, i trzecie. Młodzież do nas podskoczyła. Panna młoda rączki składa i do Borysa:

— Zlitujcie się, panowie, Co wy tylko tanga umiecie?

— A jakie ma pani życzenie?

— Coś wesolego.

— Oberka?

— Też... Bikitowo...

Zagraliśmy big-beatowo. Skrzypek motał się w akordach, bo nie znał tematu, robił to swoje tirlu-rilru i brzmiało to żalobnie jakby kto kota nadepnął na ogon. Ale bebnista grzmocił z góry i zupełnie nas zagłuszał. Starszyzna krzywiła się przy stole na tańczące pary, i znowu doskoczył gospodarz.

— Panie Borys, ja wam płacę za muzykę, a nie za bicie w beben! Albo grać rzetelnie, albo wam pojedzie po pensji!

Cieźka jest klezmerska dola. Trudno ludziom dorodzić. Jeden chce szybko, drugi wolno. Ten wesoło, tamten smutno. Raz na ludowo, to znowu po miejsku — hop sasal! A już najtrudniej dorodzić temu, co orkiestrę zamówił; zawsze będzie rozkazywał, kre cił nosem, straszyl, że pojedzie po pensji. Ile to razy po długiej, wielogodzinnej orce wychodziliśmy bez grosza. Byłe pretkiet wystarcza, aby muzyków wykiwać. Na jednej fabrycznej zabawie, tuż przed końcem, wiatr dmuchnął w nie domknięte okno, poleciały szyby; było na nas; nie dam pieniędzy — wrzeszczał organizator. Innego wieczora wzbuchła na sali bójka. Przyjechały cztery Chuliganami do areztu, poszkodowanaj do szpitala. Ale w ogólnym rozgardiaszu wymknął się jakoś, z pokaznym utargiem, aranzjer widowski; spotkałem go kiedyś na ulicy, więc mówię: oddaj pieniądze! Ja pana nie znam — powiedział. A ta słynna zabawa karolewska? Grałem tam, i oł tego się zaczęło, że nas żcieli wykiwać z gotówki. Więc perkusista, wielkie chlupisko, stoczył z organizatorami regularną walkę, a my chbawiliśmy się za kotara. Skończyło się tak, że jeden organizator, nie biorąc udziału w bijatyce podskoczył chykiem na scenę, do perkusji, i grzmotał beben z trzeciego piętra na ulicę. Borucki wówczas przestał się bić i płakał. Wiele mam takich wspom-

nień. Już i na uczelni mnie wykiwali i w jednym łódzkim liceum... Nigdzie nie znajdziesz uczciwości, bo w ludziach przy końcu zabawy rośnie chciwość. Mają dać dwa tysiące, dają tysiąc. Mają dać osiemset złotych, nie dają nic. Na zabawach i wieczorkach, to jeszcze pół biedy, bo spisuje się umowę (najczęściej w paru egzemplarzach, na przykład: organizator ma umowę z zespołem na trzy tysiące, a zespół z organizatorem — na dwa. Chyba jasne? Organizator kiwa w ten sposób szkołę czy zakład pracy na równy tyśiac i żyje dzięki temu jak pan). Z weselami jest gorzej. Tu muzycy grają na słowo, na walełmne zaufanie. Tu muzyka oszukuje najłatwiej, i chodź wtedy, biedna duszo, na skargę do Pana Boga.

Ale wesela mają te zalety, że czas na nas pracuje. Im później, tym luźniej. Towarzystwo z wolna się wykruza, rozprasza po kątach, ci najbardziej podchmieleni ida lulu, tworzą stopy na łózkach i podłogach, w toaletach i łazienkach, nikt nie zważa potem jak gramy, co gramy, byłe trochę pobrzeczce, poudawać, tak było i wtedy, na Zachodniej, w małym blokowym mieszkanku; o drugiej nad ranem, kiedy brzask za oknami, kilka par kreciło się sennie na omdlałych nogach, pan młody chraował w kacie obejmując czule tego chlupca, co jest sympatycznym pieślarstwem, gospodarz spał z głową na stole, przy którym dajtyka przechodziła szybko w bełkotliwe korowody; wódka nie trafiała już do gardła, a na obrusy, garnitury i suknie ciekła no brodach i włosach; nieś się jakaś wskroś nasza muzykę przebiła:

— Czemu żeś mnie, matuleńko
Za mał wydałaś...



Nagle w drzwiach pojawia się trzeźwa twarz. Rusza jej naprzeciw ojciec pana młodego. Pyta:

— Pani do kogo?

— Ee, tee, ja do Józeńka — jaka się speszona kobiecisko.

Józeńek, to nasz skrzypek. A ona — jego żona. Żony mają ten obyczaj, żeby odwiedzać mężów na chałturach, choćby to było wesołe. Wybierają późne godziny nocy, aby nie robić poruty, nie narazić się na wstyd wyproszenia. Żonie skrzypka nie takiego nie grozi. Już siedzi przy stole, i z niewiną minka, choć w latach podszasta, zamiata kanapki, ciągnie winko, z rzadka tylko do meza zagadnie, na Borysa strzyje oczkiem, ale Borys na inne zadanie, mówi szepem:

— Zagraćcie w trójkę beze mnie...

Prosi do tańca pannę młodą. Mnie już wszystko jedno. Przechodzę akurat kryzys. Każdy muzyk przechodzi na chałturze kryzys, kiedy brak tchu, morzy sen, w głowie się maści od picia, bóla nogi od stania, krzyż od siedzenia, człowiek patrzy raz po raz na zegarek, a wskazówki stoja w miejscu: oh, żeby już koniec! jeszcze ta cholerna, nie rozegrana trabka, duszna i głucha, usta spuchły jak bania, żeby wrzynała się w wargi, stony posmak krwi, nie mogę już zagrać do „gis” i ciasne te ohydne szmoncesy w dolnym rejestrze, i mam

ochotę prysnąć, położyć się rżnęś na schodach, albo w taksówce i do domu, ale szkoda mi zarobku i wiem, że kryzys minie, musi, byle choć godzinie nic nie pić i trochę odoczoać: jeszcze tylko dwie pary krecą się z uporem: nastoletnia dziewczynka ze swoją ciotką (przy czym jedna i druga wolałaby zmienić partnera) i Borys z panną młodą, przytuleni, on jej coś szepcze do ucha. Oj, może z tego być draka, może...

Skończyliśmy trójkę. Borys gdzieś wyszedł ale zaraz wrócił. Zaczął rozcierać palce. Wy nie wiecie jakie chałturny basista ma palce, Opusłki wielkie jak piłeczki pingponkowe i twarde jak kamień; ale kiedy pogra parę godzin — i tak się otwierają, krwawią i paprzą. Więc on je rozciera i mówi:

— Wiesz, to tamto, trzeba się trochę prze spać.

— Po co; przespać. Zbudź starego, niech da pieniądze i jedziemy do domu. Do której się zgodziłeś?

— Do dwunastej.

Wariat. Krew mnie zalała. Mówię:

— Miał być boki — nie ma boków. Miało być do siódmego, teraz mówisz, że do południa. Ile ty na tym trafisz? Tysiąc? Piórtora?

— Oh, żebyś tak zdrow był, jak trafić, Dorzuce ci sełkę za te boki.

W porządku. Rozłożyliśmy na podłodze po krowiec od kontrabasu i od razu zasnąłem, a kiedy się obudziłem — za oknami słońce i cały dom trząsł się od chrapania. Perkusista drzemał za bebnem — PANAMA JUNG BOYS BOOGIE-WOOGIE, skrzypek z żoną, przytuleni, spał oparci o ścianę; Borysa i jeszcze kogoś nie było, źle, na dodatek gospodarz się przeeknął i od razu do mnie:

— Czemu nie grać!

— Bo śpię.

— Jak byćcie grałi, to byśmy nie spali.

Madrała. Wziąłem trabkę i zagrałem wsta wanego, czyli: „Kiedy ranne wstają zorze...” Ostro zagrałem, bo mi usta trochę odpooczyły i było to jak zimna woda na gorący łeb; ten i ów oknął się przy stole, inni wychodzili z łóżek, umywalni, kuchni i drugiego pokoju, Borys nagle się pokazał w pogłębionym garniturku i zaczął stroić kontrabas, panie z mokrymi kompresami na głowie pojeikiwały z cicha, a najgłośniejsza żona skrzypka, a gospodarz dał sygnał do zacycia najlepszego lekarstwa: grzmotał sobie stugramowa lampkę...

— Do stołu — powiedział. — Do stołu!

I wszystko od nowa. Weseliłko. Podjedli, popili, rozkazali: grać!

— Co szanowni państwo życza?

— Walezyka!

— Polke!

— Oberka!

— Big-beatow!

— Ołciec pana młodego się zrywa, sympatyczna starowinka:

— Tango myło grejta, chlupci, myło, myło...

Zaczyna nucić to „myło” melodyjnym tenorkiem, a Borys:

— Wiesz pan, jest taki zwyczaj, że jak się ekstra zamawia, to się ekstra płaci.

— Ile?

— Co ładna.

— Pięćdziesiątka starczy?

— Onieka!

— Ale lepsza słówka — wtraca skrzypek.

— Jak posmarujesz, tak pojedziesz — dodaje bebnista.

Jest słówka.

Jest tango słarczyste wczesnym rankiem w dzień roboczy grane. Więc w domu wzbucha panika. Ktoś nad nami grzmoci w sufit, ktoś pod nami — w podłogę. Przez otwarte okna słychać oburzone głosy, kłną nas w żywe kamienie. A my gramy i gramy — bo umowa do dwunastej. Oni tańczą — bo zapłacili. A sąsiedzi dostają białej gorączki — płacz, krzyk, pisk rozbudzonych dzieciaków; wszyscy się mecza, wszyscy denerwują. Tylko Borys jest w swoim żywiole. Szarpie jak w transie struny kontrabas, a kiedy pauza — zapowada:

— Sto lat na nowej drodze życia uroczym nowożeńcom. Sto lat na tym padole — w zdrowiu, w szczęściu i wierności...

I gramy niestrojne „Sto lat”.



Lewym okiem

TON STAREGO WIARUSA

Cóż z tego, że nie mam telewizora i że rzadko nastawiam radio? I tak to z lewej, to z prawej, to z dołu — jak w tej chwili — to znowu z góry słyszę wściewłe serie karabinów maszynowych, starannie rozłożone efekty większych wybuchów i na ile tego zgiełku pełen patosu krzyk, któregoś ze stołecznych ulubieńców publiczności: naprzód, chłopaki, naprzód!!!

Wrzesień, miesiąc wzmózonego wspomniania. Sam jestem z takich właśnie, co pamiętają, jeszcze jak! I wcześniejsze sprawy też. Na przykład zdanie Stonimskiego, wypowiedziane na długo przed ostatnią wojną, a odnoszące się do wspominków z poprzedniej: „Nic tak nie zaprasza pokoju, jak ton starego wiarusa, opowiadającego młodym swe frontowe przygody.” Było to zdanie pacyfisty, przeceniającego rolę i znaczenie psychologii indywidualistycznej.

Nie wiem, czy straszę jeszcze pó świecie takim Zenony Balce, jak bohater „Agnieszki, córki Kolumba” Macha. Zapieczonzone, rozjuszone, nie widzące nic spoza kurzawy krwi, z której tylko co wyszli. Jeśli nie znaleźli sposobu na wejście w normalne życie, to chyba jednak przygali, skwaśnieli, pić to, owszem, pija, a dużo, ale właśnie z gorczyzą, z koniecznym, nieuleczalnym abszakiem. To przez nich młodzi ludzie śmieją się z nas, kombatantów. Śmieją się już dawno w studenckich piwnicach, śmieją się teraz ich dużo młodszy bracia, już bez filozoficznego podtekstu, już zwyciężają — jak ze zwyciężonej draki. To nie, to trzeba było przewidzieć, chociaż nikt chyba nie przewidywał, nawet ten kornajacy powstaniec warszawski, którego ostatnie słowa czytałem — nie pamiętam już w których wspomnieniach: „Będziecie mieli waszą Polskę...”

Wszystko jest tak, jak powinno być. Ci sami młodzi ludzie mają bzy w oczach, gdy przy groźnym biciu werbli wywołuje się na uroczystym apelu duchy naszych poległych rówieśników i przyjaciół. Ci sami młodzi ludzie z zachłanną cią młodych szukają, żądają całej prawdy o wojnie, nie domyślając się, że żadne dzieło sztuki całej prawdy nie odda. Ludzimy się tylko, że trzeba czasu, dystansu, syntezy. Ze powstanie jeszcze raz „Wojna i pokój”. Może i powstanie; wytworzy w wyobraźni mas sugestywny i skończony obraz krwawej epoki, ale kto ten obraz porówna i sprawdzi z oryginałem, z tamtym wrzesniem sprzed dwudziestu ośmiu lat?

Twórczość Bogdana Czeski nie jest nazbyt zbiedzna z moimi literackimi upodobaniami. Ale Czesko napisał parę lat temu zdanie, które mną wstrząsnęło, tak bliskie było jakieś niechęci

uświadamionej prawdy. W recenzji z „Gorzkiego Miodu” Leonida Pierwomajskiego, zamieszczonej w „Kulturze”, powiedział autor „Pokoleń” i „Edukacji sentymentalnej”: „Na wojnie człowiek ponosi nieodwołalną klęskę, choćby zbrońowość świętowała zwycięstwo. Stany przelotnych euforii czy samoutwierdzenia się w swej wartości okupione są ceną ponad wszelkie wyobrażenie lichwiarską, na którą składa się pełny katalog wszystkiego najgorszego, co może być udziałem człowieka. Wyjście z wojny jest zdjeciem z krzyża, na którym się nie umarło. Wynosimy z wojny marzenia o przyszłym życiu, które nie zostaną spełnione, pretensje, które wystawiają nas na pośmiewisko i zdanie: „broniłem ojczyzny”, które spotka się ze słuszną odpowiedzią: „no to co?” Wymosimy niepokój i poczucie nietruwałości, nasze ukojenie — jeśli następuje, podżyte jest niewiarą w jego prawdziwość.”

Już ten jeden fakt, że zdania powyższe są samą prawdą, wystarczy mi za powód do nienawidzenia wojny. Jak najbardziej osobistego. Z jak najbardziej osobistych, intymnych — chce mi się rzec — powodów będę krzyczał gdzie i kiedy się da: nigdy więcej!

A tymczasem niech wszystkie środki mowy ludzkiej, literatura, sztuka, telewizja, nauka — mówią i czynią co mogą, aby uświadomić prawdę o wojnie. To nie, że nie mogą wszystkiego. Niech ta część, którą zdolamy przekazać nie pamiętającym, będzie jak największa i taka, żeby nikt nie powiedział: „Jatusiu, kiedy nareszcie będzie wojna?” —

CWIEK